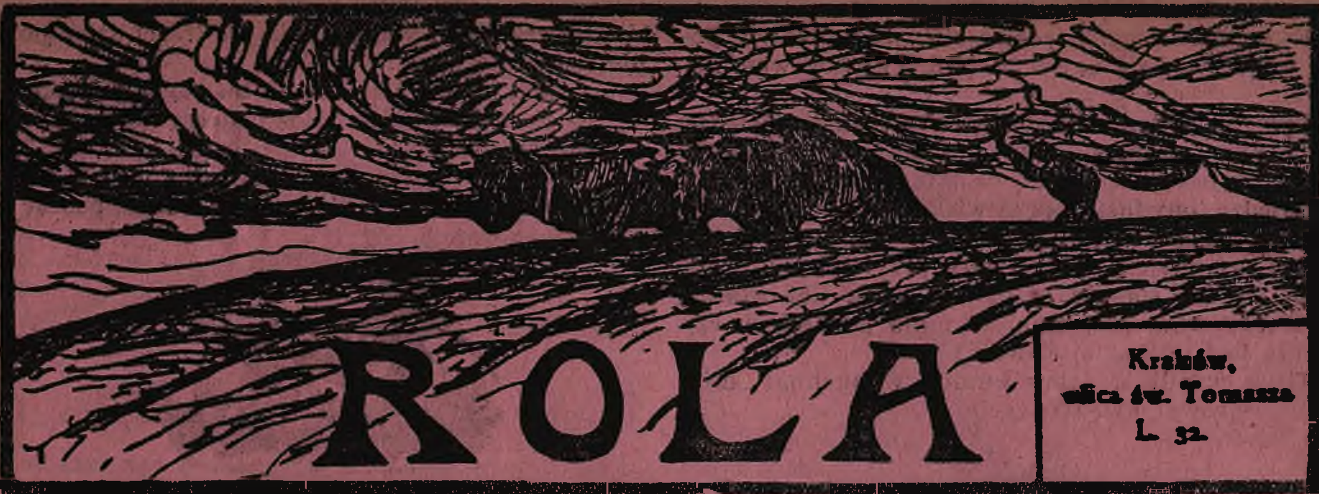
Numer 49. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 6 Grudnia 1931



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dowcip ratunkiem.

Kto umie drugich rozweselić, rozśmieszyć, potrafi wyratować się nawet w bardzo kłopotliwem położeniu.

Było to podczas rewolucji francuskiej. Księdza Gizota, podejrzanego o przekonania monarchistyczne schwytano i wleczono na latarnię. Tłum obrzucał księdza ohydnemi przezwiskami, krzycząc: Na latarnię! Na latarnię!

Już go mieli powiesić, gdy przytomny i pogodny w obliczu śmierci kapłan zawołał: Cóż właściwie z tego wam przyjdzie, że mnie powiesicie, czy latarnia będzie jaśniej świecić?

Tłum wpadł w dobry humor, wybuchnął śmiechem i darował księdzu życie.



Dobra rada.

— Gdy się kładę do łóżka mam gorącą głowę, a nogi zimne. Nie wiem, co na to poradzić?

— Połóż się przeciwnie: nogi daj na poduszkę, a głowę pod kołdrę.

W wojsku.

— Szeregowy Piguła! Czem trzeba być w wojsku, żeby mieć pogrzeb z kompanją honorową, orkiestrą i wystrzałami armatniemi?

— Nieboszczykiem, panie poruczniku!

Na trzeci dzień po ślubie.

Biuralistka wyszła zamąż. Na trzeci dzień po ślubie rzecze do męża:

— Mój drogi, mam do ciebie wielką prośbę...

— Rozkazuj, aniele. Może chcesz nowy kapelusz, a może ciastek?

— O nie, chciałam się tylko dowiedzieć, z czego właściwie robi się rosół, bo chcę sama począć gotować.



Idjotyczna rada.

Lekarz pyta chorą wieśniaczkę, czy się już kogoś radziła na swą dolegliwość.

— Tak, panie doktorze. Radziłam się pana aptekarza.

— No, i cóż za idjotyczną radę wam dał?

— Powiedział, żebym poszła do pana doktora.

Znalazł sposób.

— No, nareszcie będziemy mieli spokój; już ten mały przestanie walić w swój bęben od rana do wieczora.

— Ciekawy jestem, jak ci się udało uciszyć go?

— Bardzo łatwo, podarowałem mu scyzoryk i spytałem, czy wie, jak jego bęben wygląda w środku.

Numer 49. Rok XIV. Kraków, dnia 6 Grudnia 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.361 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Święta Barbara.

W dniu 4 grudnia obchodzi kościół katolicki uroczystość świętej Barbary, patronki górników. Ciekawe jest życie tej wielkiej świętej. Była ona jedyną córką bogatego i bardzo znakomitego bałwochwalcy nazwiskiem Dioskora, który kazał ją bardzo starannie wychować w mieście Nikodemji. Chciał on ją uposażyć wykształceniem i mądrością i z tego powodu kazał ją zamknąć w samotnej wieży, ażeby tam zdala od świata przykładała się do nauk i nie chodziła drogami występnych pogan.

Barbara była bardzo piękna, posiadała bystry rozum i dla każdej dobrej rzeczy przystępne serce. Ta samotność w wieży doprowadziła ją do badania samej siebie, świata i jego stworzenia. Wskutek tego rozmyślania zrodziło się w niej gorące pragnienie poznania prawdziwego Boga, a Bóg Ten, który znał to jej pragnienie, zaspokoił je w zupełności. Barbara przyszła też rzeczywiście do poznania Chrystusa i Jego świętej nauki, co ją napełniło słodką pociechą i dziecięcą radością. Pogardzała odtąd czcią, jaką poganie oddawali bożkom i czuła, jak z dniem każdym coraz potężniej rośnie jej przywiązanie do Jezusa. Wzgardziła miłością pogańskich młodzieńców, którzy się o jej rękę starali i postanowiła pozostać nazawsze dziewicą.

To jej zachowanie zwróciło uwagę ojca, uważał je jednak za niewieście grymasy i mniemał, że z czasem wyrobi się w niej inne usposobienie. Pomylił się jednak. Wróciwszy pewnego dnia z podróży do domu, spostrzegł, że córka w pokoju swym kazała zrobić trzy okna i krzyż powiesić. Zdziwiony spytał się o przyczynę i otrzymał odpowiedź: „Uczyniłam to z tego powodu, ażeby mieć ciągle przed oczyma wiarę w Przenajświętszą Trójcę, którą wyznają chrześcijanie!“ Poczem Barbara zaczęła z wielkiem natchnieniem mówić o wspaniałości chrześcijaństwa i obrzydliwości bałwochwalstwa tak, że ojciec jej mógł zaledwie z podziwienia i gniewu słowo wyrzec. Wkońcu zebrał wszyskie siły i w wściekłości dobył z pochwy miecza, ażeby przebić córkę. Ale ta uszła, aby mu oszczędzić hańby mordercy własnego dziecka.

Dioskor pobiegł za nią, znalazł ją ukrytą w jaskini wśród skał, powlókł ją za włosy do domu i sponiewierał jaknajokrutniej, ażeby wpoić jej inne przekonania. Ale Barbara pozostała wierna wierze Chrystusa. Lecz wściekłość zaślepionego ojca nie miała granic. Pobiegłszy do namiestnika Marcjana, oskarżył swą córkę, że gardzi bogami. Ten kazał ją zawołać przed swój trybunał sądowy i usiłował podchlebstwami odwieść ją od wiary, a kiedy to nie pomogło, kazał ją smagać bykowcami. Barbara zniosła jednak cierpliwie te katusze. Wezwana po raz wtóry przed sędziego wyznała z odwagą, że należy do Chrystusa i nic jej od Niego odwieść nie zdoła. Teraz przypiekano ciało jej pochodniami i nago prowadzono przez ulice. Ale Barbara i ten wstyd i cierpienie zniosła bohatersko. Wobec tego namiestnik kazał ściąć głowę świętej dziewicy. Na miejscu spełnienia wyroku zjawił się nagle przy jej boku ojciec i opanowany djabelską wściekłością, ściął jej jednym zamachem głowę. Z powodu tej zbrodni zabił go wkrótce piorun.

Święta Barbara czczona była zaraz po śmierci w całem chrześcijaństwie, jako pełna chwały męczennica za Chrystusa, mianowicie wzywano Jej pomocy, jako patronki w godzinie śmierci, gdyż za Jej przyczyną umierający w cudowny sposób otrzymywali Przenajświętszy Sakrament.

Górnicy, jako ci, których najłatwiej może spotkać nagła a niespodziewana śmierć, obrali sobie św. Barbarę za patronkę.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

I.

Słońce zeszło już od kilku godzin, ale mimo że wysyłało najsilniejsze i najdłuższe swe promienie, nie mogło zwalczyć gęstej mgły, ścielącej się tu i ówdzie niby szary tuman, indziej niby woalowy kwef, kryjący zazdrośnie najpiękniejsze lica dziewiczej ziemi. Wreszcie zwyciężyło. Ciężka zasłona ustępowała zwolna, niechętnie, czając się jeszcze w oślizgłych, wodą brzemiennych moczarach, zdając się czekać na odejście zuchwalca, aby zamknąć ją znów w wilgotnych ramionach i ukryć przed okiem śmiałka czar jej tajemnic. Tymczasem urok palącego oblubieńca podziałał jakby dotknięcie różdżki czarodziejskiej: ptaszęta dotąd ruszające się leniwie rozćwierkały się radośnie, napełniając muzyką ponure wnętrze odwiecznej puszczy. Drzewa-olbrzymy, nietknięte świętokradzką ręką, odmierzającą granicę ich istnienia rosły i marły wolne, dzikiego uroku pełne. Niektóre obalona huraganem, wspierały się jeszcze na swych towarzyszach, niby bezsilne starce; inne mocą jakąś tytaniczną zmożone legły, dając swe ciała na pożywienie całemu szeregowi nowych istnień. Wokół widać było ślady odwiecznej, starej jak świat walki o byt, walki, w której bez skrupułów zwyciężał silniejszy. Wedle prastarych praw puszczy, nie mogło tu istnieć nic słabego, nic karłowatego. A więc rosły siłacze-olbrzymy, dumne ramiona prężąc ku słońcu, ku światłu, — ale i one drżały od wewnętrznej trwogi przed przemożnym siłaczem wichrem, który w chwilach wściekłości potrafił zmóc je i harde głowy w proch pochylić.

— Moc nasza okrutna, lecz tyś nasz pan — pan — zdawały się mówić, pochylając głowy za każdym silniejszym podmuchem.

I całe życie puszczy kształtowało się na tem prawie feudalnem, gdzie ostateczną władzę dzierżyła siła. Świeża, chłodna i ożywcza woń panowała wszechwładnie. Resztki wilgotnych oparów czepiały się tajemniczych, nieprzeniknionych gąszczy, potęgując ich grozę i zdając się przestrzegać: „Dotąd — ani kroku dalej“. Wąskie, wydeptane ścieżynki, prowadziły do pobliskiego strumienia, który płynął z głośnym hukiem, wąskiem a głębokiem korytem, przedzierając się przez pnie i gałęzie powalonych drzęw i torując sobie niejednokrotnie drogę zwartą pracą tysięcznoramiennych fal. W miarę jednak jak las stawał się rzadszy, rozlewał się szerzej, a szum jego był już jakby echem przeszłych walk; aż wypłynąwszy na rozległą polanę, rozprężył się jak człowiek wypoczywający po ciężkiej pracy, rozdzwonił się srebrzyście i szemrząc, w tanecznych podskokach połyskiwał, skrząc się srebrem i tęczowemi blaskami w gorących pieszczotach słońca. Rozległa polana mieniła się tysiącem barwnych kwiatów, rozsianych na tle soczystej zieleni, a nad niemi niby tęcza tańczących oderwanych płatków, unosiła się chmura motyli przelatujących z kwiatu na kwiat, z pszczółkami w zawody. W środku polany rósł dąb, szanowny starzec, którego spróchniały pień mógł śmiało przytulić w swem wnętrzu sporą gromadkę osób. Tuż przy ziemi był spory otwór, prowadzący do wnętrza, a wypalona trawa i resztki wygasłego ogniska wskazywały, że stary dąb miał, a może i ma mieszkańca. Ogromna, rozłożysta jego korona dawała schronienie kilkuset rodzinom ptasim.

Oj gwarno tam było, a śpiewnie. Od świtania panował ruch ożywiony: sejmy i sejmiki, narady i kłótnie, jak zwyczajnie w wielkiem zbiorowisku, gdzie troskliwe matki i wiecznie zakłopotani ojcowie, widzą tylko zalety swych pociech, a wady są przywilejem sąsiadów. Ale mimo steku nieporozumień i trosk różnorakich tętniła tam radość życia i zadowolenie dosytu, bo pogoda dopisywała, więc i owadów moc uwijała się w przestworzu, a gąsienic tłustych zatrzęsienie czołgało się po liściach i murawie, że tylko dziób otworzyć i jeść, a jeść.

Słońce przygrzewało już dobrze, gdy we wnętrzu dębu dał się słyszeć jakiś szelest, a z otworu wysunął się najpierw siwy, kudłaty łeb, a później wypełzła na czworakach jakaś istota ubrana w samodział tak stary i brudny, że nie różnił się niczem od swej pramatki ziemi.

Skurczona postać wyprostowała się nieco, pomagając sobie zakrzywionym kijem. Była to starucha sucha, zgarbiona, o palcach powykręcanych dziwnie, niby szpony. Twarz miała sępią, z nosem długim, który zginał się haczykowato nad zaciśniętemi ustami. Brwi siwe, krzaczaste, ocieniałe, czarne, świecące, głęboko osadzone, oczy. Wszystko to składało się na całość jeśli już nie odrażającą, to w każdym razie wielce niesamowitą. Stara przysłoniwszy oczy, spojrzała na słońce i mruknąwszy coś, podreptała w stronę lasu. Mimo podeszłego wieku, szła raźno i pewnie. Uszedłszy spory kawał drogi, zaszyła się w gęste podszycie, przyklękła i pomagając sobie płaskim, podobnym do szerokiego noża kamieniem, jęła wykopywać dziwaczne białawe korzenie. Upłynął dłuższy czas. Duża ilość korzeni leżała już na brudnej płachcie rozciągniętej na ziemi, gdy dał się słyszeć tentent koni. Stara zaprzestała roboty i przypadła do ziemi, nadsłuchując. Z głębi lasu wysunęło się dwóch jeźdźców, w podróżnych opończach. Obaj młodzi i piękni, nie byli jednak do siebie podobni. Jeden poważny i zadumany, w ciemnych kapłańskich szatach, miał w błękitnych oczach wyraz marzycielski, a usta miękkie w zarysie, pełne dobroci. Piękny w rysunku owal twarzy i jedwabiste kędziory jasnych włosów, czyniły go podobnym do prześlicznej, ale nad wiek poważnej dziewicy. Drugi wydawał się nieco młodszym. Ubrany w strój świecki, dostatni i dość strojny, miał u szerokiego pasa ciężki miecz, a przed sobą na łęku, masywny łuk i strzały. Twarz jego piękna, miała w rysach męskość, a w oczach hardość i nieustępliwość. Orlim wzrokiem toczył dookoła, a nozdrza jego rozdymały się, wciągając z lubością ożywczą woń lasu.

— Cudnie tu, a cicho, zwierza moc być musi! aż ha! ale ludzi, to chyba ani na leki nie znajdziemy — mówił.

— A widać nie. Trza nam wracać Bolku! Mogliby nasi być niespokojni — odparł drugi.

— Jeszcze kawał do południa. Jedźmy jeszcze... — prosił Bolek, lecz nie dokończył, bo koń jego spłoszył się, zjeżył i odskoczył w bok, omal nie strącając jeźdźca. Bolko ściągnął go silnie, a towarzysz jego krzyżem przeżegnał gęstwinę.

— Licho jakie, czy co?! — wyszeptał, a Bolko splunął ze złością.

Tymczasem za podróżnymi rozchyliła bez szmeru gałęzie i wyjrzała z nich sępia twarz wiedźmy.

Patrzyła chwilę za nimi z wyrazem szatańskiej nienawiści i wściekłości.

Tymczasem podróżni jechali długą chwilę w milczeniu. Nagle zatrzymali się jak wryci, gdyż w ciszę wdarł się jakiś gwar i nawoływania licznych głosów.

— Pozwólcie Ojcze, skoczę przodem i obaczę! — odezwał się Bolko i nie czekając przyzwolenia, popędził konia. Towarzysz jego zatrzymał się i wyciągnąwszy różaniec, zaczął w milczeniu przesuwać paciorki. Tymczasem Bolko wyjechał już na skraj lasu. Gwar stawał się coraz bliższy. Zsunął się więc cicho z konia i odgarniając bezszelestnie krzewy, zapuścił bystre spojrzenie na rozległą polanę. Kilkanaście dziewcząt różnego wieku pląsało po wodzie, lub wyciągało się leniwie na murawie, poddając młode ciała pieszczocie słońca, inne zaś wiły wieńce z polnych kwiatów. Wszystkie były hoże, ładne, pełne życia i zdrowia, ale jedna górowała nad niemi urodą i postawą. Wysoka, smukła, zgrabna, miała w ruchach nadzwyczajną lekkość, a w twarzy niezwykle pięknej, wyraz powagi i słodyczy. Faliste, koloru dojrzałej pszenicy włosy, otaczały jasne czoło. Ciemne, ślicznie zarysowane łuki brwi, ocieniające gwiaździste, koloru fiołków, oczy, okolone długiemi firankami czarnych rzęs, pąsowe, foremne usta i cera dziwnie jasna mimo upalnych pocałunków słońca, tworzyły całość tak miłą dla oka, iż zdawało się, że matka-natura wysiliła cały swój zmysł artystyczny, by stworzyć doskonałą piękność i powstało arcydzieło. Dzieweczka choć nie starsza wiekiem od towarzyszek, robiła jednak wrażenie księżniczki, otoczonej usłużnemi dworkami. I teraz ubrawszy na głowę wianek, klasnęła w ręce:

— Hej! Miro, Siło! spieszcie się! południe!

— Już, już, Sławo! idziemy! — odpowiedziały liczne głosy.

Bolko patrzył i patrzył, a w piersiach uczuł dziwne uczucie. Widział tyle pięknych twarzy na dworze Mieszkowym, lecz równie pięknej nie widział nigdzie. Patrzył więc, nie mogąc oderwać wzroku od cudnego zjawiska, a dzieweczka jakby czuła to natarczywe spojrzenie, gdyż kilkakrotnie przecierała ręką czoło, jakby odegnać chciała jakąś natrętną muchę. Wreszcie opamiętał się młody, widząc gromadkę gotową do odejścia. Niechętnie i leniwie wycofał się z gęstwiny, wspomniawszy teraz dopiero czekającego towarzysza.

— Dzieweczki jakoweś zabawy na polanie odprawują — informował go, podjechawszy bliżej.

—Więc jednak Stańko nie łgał! Zatem i Triglowska Góra niedaleko! Jedźmy! — ruszył żwawo kapłan.

— Jedźmy! — zawtórował Bolek.

II.

O godzinę drogi na półn. wschód od wzwyż opisanej polany, wznosiło się dość wysokie wzgórze porośnięte młodym zagajnikiem. Wzgórze to stanowiło widać dość twardy orzech dla pracowitego strumienia. Ten jednak namordowawszy się daremnie, nawyrywał moc ziemi i wreszcie dał za wygraną, otaczając go mokrem ramieniem. Na wzgórzu stało coś, niby napoły obronne dworzyszcze, otoczone ostrokołem tak niskim, że przeskoczenie go nie przedstawiało dla nieco bystrzejszego rumaka, żadnej trudności. Na zboczu otoczone świeżą ciemną zielenią młodziutkich sosenek i modrzewi, poprzyczepiane były niby gniazda jaskółcze, lepianki nędzne i chatynki z pni nieobrobionych, słomą kryte. Wszystko to zdala przedstawiało dość malowniczy widok. W gruncie rzeczy jednak była to nędza rozpaczliwa. W kurnych chatynkach jednoizbowych gryzł dym i wyżerał oczy jak rok długi, lada silniejszy wicher burzył i zrywał źle umocowane poszycie, lada deszcz, a woda płynęła strugami po izbie, zalewała ognisko z trudem utrzymywane. W izbie ni stołu, ni tacy nie znalazł. Czasem u niektórych pień leżał skórą wilczą lub niedźwiedzią kryty, ławę zastępując, a w kącie z suchego mchu i liści takimiż skórami kryte, łoże. W drugim rogu izby mieściła się cała chudoba: krówka nędzna i dla kur grzęda ladajaka, no i koń, nieodstępny towarzysz i pomocnik. Tak żyli władycy możni Leliwy i Poncje, Korabie i Skryty, od czasu, gdy Mieszko wiarę starą przodków swych zamierzał rzucić. Wtedy oni na swe bogactwa niepomni, za nic zaszczyty sobie mając, w bory niedostępne uszli i wiedli tam żywot nadmiernie nędzny, ale z dumy swej i hardości na jotę nie ustępując. Władyka Skrybo, jako najbogatszy ongiś i jako rodu swego patrjarcha, prawem najstarszego i najmędrszego, dzierżył wodze w krzepkich jeszcze dłoniach. Przed jego wolą chylili się wszyscy. Czasem wprawdzie trafiało się, że któryś z młodszych, nie mogąc znieść życia takiego i nędzy bez jutra i bez celu, ginął bez wieści. Szeptano, jakoby na dwór Mieszka lub w ludniejsze okolice zbiegali, ale pewności nie było. Brała bowiem i puszcza ofiary straszne. Przecież i maczuga, choć ciężka i ostremi kamieniami nabijana, ześlizgnęła się nieraz z twardego łba misia lub odyńca, a grot, choć ostrym kamykiem zakończony, niezawsze przebił gęste futro wilcze... I tak przed Godami znikł Leszek, Ziomków jedynak, a tuż po świętach Marzanny przepadł Stańko, Skrybów, wnuk najmilejszy, zostawiając żonę wielce umiłowaną Ludomirę i syna wyrostka. Skryba cierpiał strasznie. Ponieważ jednak najskrupulatniejsze poszukiwania nie dały rezultatu, a stary potrzebował doświadczonego męża do rady i pomocy, przeznaczył Ludomirze starszego wiekiem Leliwę, za małżonka. Ludomira oczy wypłakiwała z rozpaczy, odważyła się nawet staremu dziadowi paść do nóg, ale nic nie wskórała. Schła więc i z dnia na dzień nikła w oczach, iż zdawało się, że lada ranek nie zastanie jej przy życiu. Prawą ręką i pomocnicą starego była wiedźma Jarucha, guślarka i znachorka, która właśnie wysunęła się z lasu i z szybkością na jaką ją było stać, wdrapywała się na wzgórze. Dysząc ciężko, dopadła dworzyszcza i pędząc kijem kundle, które opadły ją z hałasem, wpadła do izby.

— Gdzie Skryba? — wołała z progu.

— Na te słowa ze stojącego w kącie tapczana, podniósł się olbrzym siwy, chudy i zgarbiony nieco, lecz żylasty i przedstawiający dziś jeszcze niepospolitą siłę.

— Witajcie Jarucho! a co tam? — pytał, widząc latające ręce i wypieki na twarzy starej.

— A to, że nam uciekać trza i to spiesznie! — wyrzuciła z wściekłością.

— Jakto? co? dlaczego?! przed kim?! — porwał się Skryba.

— Ano przed Mieszkiem i jego zausznikami! Przed tym odstępcą i zaprzańcem! Nie mam spokoju ni bezpieczeństwa! Oj dolaż nasza dola! Zginąć nam chyba przyjdzie marnie!

— Ale dlaczego? mówcie z rozumem! — mitygował stary.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Swięty Mikołaj w drodze.

Baczność, baczność, moje dzieci!
Wśród śniegowych pól zamieci
Jakaś dziwna jasność świeci
I głos jakiś ku nam leci...

Idzie święty z podarkami,
Z łakotkami, słodyczami,
Z zabawkami, z cukierkami,
By obdarzyć was darami

A za świętym djabeł kroczy
I wytrzeszcza swoje oczy:
Komu zamiast darów nieba
Dobra rózgę dać dziś trzeba?

Mówca za suflerem.

(Obrazek z życia Rosji przedwojennej).

Car rosyjski, Aleksander III. postanowił zwiedzić kilka guberni swego imperjum, aby naocznie przekonać się o życiu swoich wiernopoddanych. Cała ta podróż miała odbyć się nie koleją, lecz powozem i do tego z wielkim przepychem. To też gubernatorowie danych guberni otrzymali szczegółowe instrukcje podług zgóry określonego planu. Plan polegał na tem, aby wszystko było należycie przyszykowane na przyjęcie „samodierżawnago gośtia".

W oznaczonym dniu wyjazdu car z całą swoją świtą wyruszył w podróż. Ponieważ droga wypadała przez pewną bogatą wioskę, postanowiono zatrzymać się tam dla wypoczynku, wiedząc o tem, że gubernator wydał rozporządzenie, ażeby pop tej wsi spotkał cara, a także wygłosił mowę powitalną.

Pop, który był bardzo słabym kaznodzieją, znalazł się w kłopotliwem położeniu. Co ma mówić i jak? absolutnie tego nie wiedział. Na szczęście wyręczył go znajomy student, który gościł u niego i ułożył mu wspaniałą mowę powitalną.

— Macie, batiuszka — rzekł podając arkusz papieru — spisałem tu wszystko dosłownie, musicie tylko nauczyć się i powiedzieć i wszystko będzie w porządku.

Uradowany pop zaczął się uczyć ze zdwojoną energją, tembardziej, że dzień przyjazdu cara był już bliski. Nareszcie wszystkie trudności zostały pokonane i mowa wyuczona na pamięć; pop westchnął z ulgą.

— Uf — rzekł do studenta — góra spadła mi z plec. Nareszcie taki umiem.

— Zrobimy próbę — zaproponował student. Ja będę odgrywał cara, a wy będziecie mnie witać.

— Owszem zgoda — zawyrokował pop — zobaczymy, jak nam pójdzie.

Student włożył na siebie futro, na głowę barankową czapkę i przybrawszy groźną postawę, zawołał:

— Gaworit (mów)!

Biedny pop otworzył usta i nie rzekł ani jednego słowa, bowiem pod wpływem jakiegoś tajemniczego strachu zapomniał wszystko to, co miał powiedzieć i czego się nauczył z takim trudem.

— Ho, ho! — zawołał student — no i co teraz będzie?

— Nie wiem — odrzekł pop — ale mam wrażenie, że lecę w przepaść, z której mnie nikt nie uratuje.

Po krótkim namyśle student uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Batiuszka, mam radę! znalazłem ratunek, jesteście uratowani!

— Co? jak? ratunek? jaki? — dopytywał się pop.

— Taki — odrzekł tamten. — Jeżeli przyjedzie car, ja się ukryję za kolumną i będę wam podpowiadał, no wiecie, jak w teatrze sufler.

— Prawda! co za oryginalna myśl! — zawołał pop. — Dawaj zaraz, spróbujemy.

Próba wypadła bardzo dobrze i jak mówca, tak i sufler czekali spokojnie na przybycie cara.

Pewnego dnia nadesła wiadomość, że dawno oczekiwany gość jedzie. Uderzyły dzwony, pop na czele procesji wyszedł na spotkanie. A gdy wprowadził cara wraz ze świtą do cerkwi, zajął swoje miejsce, chcąc wypowiedzieć powitalną mowę podług określonego planu.

Sufler, schowany za kolumną, chcąc dodać odwagi i jednocześnie uprzedzić popa, półgłosem rzekł:

— Zaczyna się.

Pop, nie zrozumiawszy uprzedzenia, przeżegnał się i grobowym głosem powtórzył:

— Za-czy-na się.

Obecni spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co się zaczyna.

— Co ty? — upamiętaj się! — zawołał półgłosem student.

— Co ty, upamiętaj się — powtórzył napół przytomny pop.

W cerkwi powstało zamieszanie.

— Gdzie ty braciszku wlazł — rzekł prawie z płaczem student.

— I gdzie ty braciszku wlazł — rzekł pop, patrząc w stronę cara — który podczas „mowy" kręcił się, jak na rożnie.

— Ja przepadł i ty ze mną — jęknął sufler.

— Ja przepadł i ty ze mną — rzekł pop, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Tego było już dosyć. Car, przekonany, że na jego osobę uplanowano zamach, zwiał z cerkwi wraz z całą świtą, a na jego miejsce wkroczył konwoj, który odnalazł mniemanego złoczyńcę i przedstawił przed oblicze cara, a gdy się sprawa wyjaśniła całkowicie, car i świta kładli się ze śmiechu. *P. Mrozowski.*

Na pobojowisku.



Każdy człowiek umrzeć musi, ale żyje z tą nadzieją, że najbliżsi jego i po jego śmierci o nim nie zapomną. Kiedy spocznie w zimnym grobie, odwiedzamy zimną mogiłę zmarłego człowieka, sadzimy na niej krzewy i kwiaty, a wtedy zdaje się nam, że ten umiłowany przez nas Zmarły przebywa między nami i widzi naszą troskę o niego. Bezwątpienia cieszy go na tamtym świecie ta nasza pamięć o nim.

Nie każdy jednak umiera na łożu wśród bliskich sobie. Jedni rozbici na dnie morskiem giną, inni wśród bitew zaścielają pola swemi ciałami, a tak jednym, jak i drugim nie ma kto żałobnej pieśni zanucić, nie ma kto zamknąć oczu na wieczny spoczynek, nie ma kto pomodlić się nad ich grobem.

A grób ich to głębokie nurty wody, lub piasek lotny, albo zwiędłe liście wiatrem naniesione.

Spoczywający na dnie morskiem, są pokarmem dla ryb ludożerczych, padli na pobojowisku, stanowią ucztę dla stad wron i kruków.

Na powyżej umieszczonym obrazku widzimy zwłoki poległego na polu walki żołnierza. Obok niego nieżywy koń, dzielny towarzysz doli i niedoli, oraz szczątki roztrzaskanego wozu. A ponad tem wszystkiem unoszą się czarnopióre kruki, zadowolone, że uczta obfita oczekuje na nich.

Ucztę przerwało trzech rycerzy. Ale ci, westchnąwszy za duszę zmarłego, pojadą dalej, a kruki znowu rozpoczną niczem niezamąconą stypę, którą im przerwano.



W tamtą niedzielę ześliśmy się u Filipa pod lasem na pogadankę. Bo to przecie samo przez się się wie, ze lepiej pójść do sąsiada i pobajać to o tem, to o owem, jak włócyć się po karcmiskach i tracić w nich cas i piniądze. A do Filipa wartało iść, bo chłop, choć był obstarni, to umiał duzo i zajmujących rzecy opowiadać. Molestowaliśmy go tez zawse o powiastki, a on prawił nam o tem i o owem, a myśmy słuchali.

W tamtą niedzielę Filip opedzieli nam krystorję z swojego zycia, którą ja wam dzisiaj tutok powtórzę:

— Gdym był parobkiem — opowiadali Filip — pasałem konie z inksemi chłopakami po nocach i wtedy płataliśmy ludziom różne figle, casem złośliwe, ale zawse wesołe, z cego potem miała cała wieś śmichu co niemiara. Raz, pamiętam, jak dzisiaj, zrodziły się bardzo jabłka, a ze to nie robiło różnicy, ze to moze być grzych, jak choroba, chodziliśmy po sadach, trzęśli potrochu i rozpychali swoje zołądki. Wiadomo bowiem, ze jabłko lepse od pieconego zimniaka lub surowej rzepy. Jeden gospodarz w nasej wsi miał jabłoń, która miała ogromne jabłka. A był to sknera wielki, a pilnował jabłek zawzięcie: we dnie dzieci, a w nocy sam właził do becki, a zona nakrywała go dnem podwójnem i tam nocował. W niedzielę nie sedł do kościoła, ino wychodził z książką pod owąjabłoń i modlił się zarliwie, poklinając, od casu do casu siarcyście, jak się kto przechodzący na jego jabłonkę mimowoli popatrzył. Otóz my postanowiliśmy go ukarać za tę gorliwą słuzbę. W nocy pocichu dostaliśmy się do sadu, jeden stanął na warcie koło becki, z której dochodziło basowe chrapanie, a reśta na jabłoń. Za pół godziny wszyćkie jabłka były we workach. Wtedy ten, co był na warcie, wyjął kamienie z pod becki, które ją podtrzymywały, gdyz ogród był pochylony ku południowi, i pchnął ją mocno w kierunku sadzawki. Gospodarz obudził się, a nie wiedząc, co się z nim dzieje, pocął w becce rycęć na całe gardło. A wreście, myśląc, ze juz koniec jego zywota się zbliza, wołał w rozpacy: „Bądź zdrowa, Marysiu, bądź zdrowa!" A gdy becka wpadła do wody, zawołał: „Jezus, Maryja, to ja juz pewnie w piekle!" Wyciągnęliśmy go z wody, udając niby przypadkowych przechodni. Odtąd poprawił się ze swego łakomstwa, a my takze więcej skodyśmy mu nie robili.

— Innym razem — prawił dalej Filip — drugi gospodarz, niedbalec okrutecny, miał zwycaj zostawiać w polu brony od wiosny do jesieni. Chcąc go ukarać, wynieśliśmy brony na wysoką sosnę i tam na cubie załozyli. Gospodarz za kilka dni potrzebował bron do bronowania ziemniaków. Wychodzi na pole, ani śladu, chodzi po wsi, lamentuje, a tu inosię ludzie śmieją, lec nikt niby to nic nie wie. Az zdybuje jednego z nasej kompanje i opowiada mu o swem zmartwieniu. Ten się roześmiał i zaprowadził go do sosny, pokazując mu brony. Chłop się za głowę chwycił, co tu robić? Pewnikiem djabli brony na sosnę wynieśli, jakze tu więc z niemi iść na udry. Nie miał odwagi sam łiźć po brony, bo się bał, aby go djabeł z drzewa nie zrzucił. Pocął prosić owego parobka, aby mu pomógł w tej strapacyji. Ten niby to niechętnie, ale dał się namówić i za zapłatą dwóch ryńskich podjął się zdjąć brony z drzewa. Figiel ten poskutkował dobrze, bo odtąd gospodarz ów juz nigdy bron na polu nie pozostawiał.

— Bardzo chętnie robiliśmy tez różne śpasy dzieuchom — opowiadał dalej Filip. Wiadomo przecie wszyćkiem, ze to nasienie bardzo często zawiele o sobie myśli, więc tez nic strasnego, jak się ludziska z jednej lub drugiej takiej makolągwy mogą nieco pośmiać. W jednej chałpie była bardzo ładna, ale i bardzo harda dziewcyna. Nie chciała z byle kim gadać, mając się za coś lepsego od inksych, to tez mieliśmy od dawna hrapkę, aby jej jakiego psikusa wypłatać. Chodziło nam o to, aby z niej tę pychę wyzenąć. Wkrótce zdarzyła się sposobność. Dowiedzieliśmy się, ze w same Zielone Świątki mają być u niej proseni goście. W nocy wyleźliśmy po cichutku na dach i zatkali gałganami ze smat scelnie komin. Nazajutrz piękna Wiktusia, umaiwsy chatę zieleniną, zabrała się z zapałem do robienia pirogów dla gości. Gdy juz tego było ze dwie kopy, wzięła się do palenia w piecu. Ale daremna pokusa: dym, zamiast iść do pieca, rozłazi się po izbie i gryzie po ocach. Nie pomogły ani prośby, ani płac, ani zaglądanie do luftów, palić się nie chciało. Domownicy o suchym chlebie musieli iść do kościoła, a gdy goście po sumie zjechali, zastali jeno zimne pirogi i płacącą Wiktusię jaze okropa. Dopiro jeden z nasej bandy zlitował się nad płacącą dzieuchą i odetkał komin. Wiecorem zaprosono muzykę, a gdy zagrała od ucha, Wiktusia juz nie przebierała, ale tańcyła ze wszyćkiemi parobkami, jaze furcało. Odtąd nie pyśniła się juz więcej, bo się bała, aby jej tam znowu który cego ze złości nie zatkał.



W godziny jesienne...

Daj spokój! Nie mów tyle już!
Milczenie więcej powie —
Raczej nam dolę naszą wróż
Powiędłem drzew listowiem.

Albo nam zagraj straszny marsz
Na połamanych drzewach
Niż tak narzekać cicho masz,
Że... słowik już nie śpiewa...

Że kiedyś były jasne dnie,
Że miłość kiedyś była...
A dzisiaj wszystko tylko w śnie
I czeka nas mogiła.

Trudno, już taki życia los
Poco narzekać na to!
Spopielił się zniczowy stos,
Skończyło cudne lato...

Daj spokój! Nie mów tyle już!
Milczenie więcej powie
Raczej nam dobę naszą wróż
Powiędłem drzew listowiem.

Jacek Orlik.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Chiny II.

Jeżeli spojrzymy na mapę i porównamy Chiny z Japonją, to zobaczymy, że jest to olbrzym naprzeciw liliputa. A przecież ten olbrzym chiński nie może się sam obronić przed najazdem Japończyków. Dzieje się to wskutek tego, że Japończycy przewyższają znacznie Chińczyków pod względem oświaty. Bo i Chiny, gdyby posiądały więcej oświaty, mogłyby być krajem bogatym i potężnym. Mają potemu wszelkie warunki, a jedynie brak oświaty trzyma je na szarym końcu narodów świata.



Siejba chińska.

Roślinność Chin jest bardzo obfita. Pierwsze miejsce zajmują tu rośliny pożyteczne. W nizinie Pekingu strzela do góry biała sosna, północne okolice Chin okrywa wspaniały kasztan. Dolina Pekingu żyzna, okrywa się polami sorgo, podobnego do trzciny cukrowej. Obok nich rosną bataty, stanowiące podstawę pożywienia ludności pekingskiej. Towarzyszą im płaczące wierzby, topole, drzewa morwowe, wiązy. Lasów w Chinach wogóle brak, ustąpiły one wprowadzonem na wielką skalę hodowanem krzewom kameljowem, herbacianem, drzewom kamforowem i różnem innem roślinom, dającem tłuszcze i żywicę. Pojawiają się palmy, a na rąbku podzwrotnikowem występuje świat roślin podzwrotnikowych.

Lasy pokrywają tylko góry i wyżyny południowo-zachodnich Chin. Po niższych miejscach tej krainy ścielą się lasy kamelji, fikusów, aloesów, kaktusów, a po sadach jabłka granatowe, banany, czereśnie, brzoskwinie, winna latorośl, po polach jęczmień, bawełna, grochy, tytoń, buraki, rośliny strączkowe, sałata, cebula i kapusta. Doliny nisko położone porasta bambus, ryż i mak.

W czasach, kiedy u nas jeszcze ani nie myślano o wynalezieniu maszyny siewnej, w Chinach już ją znano dobrze. Wprawdzie nie była ona tak udoskonalona, jak nasze, ale była i Chińczyk od dawien dawna nie wyobrażał sobie nawet, że można siać zboże ręką.

Na obrazku naszym widzimy taki siewnik chiński. Jest to prosta skrzynka napełniona z jednej strony zbożem, a umieszczona na dwunożnych noszach, zaopatrzona wydrążeniem, prowadzącem aż do dolnego końca nóg. Zboże z górnej części skrzynki dochodzi do niższej części skrzynki i tam spada na ziemię. Wydrążone nogi nie dochodzą do samej ziemi, ale są zaopatrzone z przodu żelaznemi blaszkami czyli tarozami, na których cały przyrząd spoczywa. Te tarcze oddają siejbie tę ważną usługę, że robią w ziemi odpowiednie rowki do przyjęcia ziarna. Przyrząd ten jest bardzo lekki i zwyczajnie jeden wół albo dwóch ludzi go ciągnie.

W Chinach jest ziemia żyzna i Chińczycy mają ładne urodzaje, a mimo to często głód daje się im we znaki. Dzieje się to dlatego, że są one w niektórych okolicach tak gęsto zaludnione, jak żaden inny kraj na świecie, wskutek czego nawet tak urodzajna ziemia tej ilości ludzi wyżywić nie może.

Bardzo rozgałęzionym przemysłem i jego ojczyzną jest jedwabnictwo. Na naszym drugim obrazku widzimy wyrabianie i motanie jedwabiu. Prace te wykonuje Chińczyk ręcznie, przy pomocy tylko małego i bardzo prymitywnego kołowrotka. Wskutek tego nie przynosi ona mu takich wielkich korzyści, jakby przynieść powinna. A tymczasem jedwabnictwo może być dostatniem utrzymaniem nawet dla licznej rodziny, gdyż nie wymaga ani wielkich wkładów, ani zbyt dużo pracy. Do dużej nawet hodowli jedwabników wystarczy mórg ziemi i jaki taki jasny strych. Na polu zasadza się latorośle drzewa morwowego, strych służy do hodowli jedwabników. Na strychu rozkłada się kokony jedwabników, aby w cieple słonecznem, w lecie, wylągły się motyle jedwabników. Praca to jednej godziny. Motyle wkrót-



Wyrób i motanie jedwabiu.

ce po swem wylęgnięciu znoszą mnóstwo jajeczek, z których wylęgają się całe masy gąsieniczek. Te potrzebują dużo żarcia, a jedzą liście morwowe. Ścina się więc młode gałązki na polu zasadzonem morwami i kładzie się i m je na strychu. Gąsienice zjadają te liście i szybko rosną, a kiedy dorosną, oprzędzają się i tworzą kokony. Te się zbiera, zabija gorącą wodą i wysyła do fabryk jedwabiu. Zostawia się tylko pewną ilość kokonów i te przechowuje w cieple do następnego roku. Cała ta praca trwa niedłużej nad pięć do sześciu tygodni i nie jest ona tak ciężka i ciągła. A dochód z morgi pola przy hodowli jedwabników bywa większy, jak z dwudziestu mórg najdorodniejszej pszenicy, praca zaś jest stokrotnie mniejsza.

I u nas istnieje hodowla jedwabników, ale niestety na małą skalę, gdyż poświęcają się jej tylko nieliczne jednostki. A szkoda, gdyż moglibyśmy mieć z niej bardzo duże korzyści.

I Chińczycy mieliby z niej znacznie większe korzyści, gdyby nie rozplątywali sami nitek jedwabiu, co wymaga dużo czasu, ale zebrane kokony odsyłali do fabryk, gdzie maszyny czynią to znacznie szybciej i lepiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnica spowiedzi.

Okropne zdarzenie z niedawnych czasów.

— Racz Jegomość wysłuchać ostatnią prośbę umierającej! módl się o nawrócenie Józefa mojego; ratuj duszę jego!

Gdy ksiądz proboszcz jej przyrzekł, położyła głowę na poduszkę i zasnęła.

Tymczasem burza się uśmierzyła, a ks. Walenty cichaczem się wyniósł, aby powrócić do domu. W drodze ciągle rozmyślał o Józefie, synie starej Witkowej. Józef był synem gajowego Witka, który chłopca sprytnego był pilnie posyłał do szkoły; po śmierci jego wdowa Katarzyna była wielce pocieszoną, gdy dobroduszny ks. proboszcz wziął Józefa do siebie i gorliwie zajmował się jego wychowaniem. Józef jednak nie odwdzięczał się dobrodziejowi, którego posądzał o skąpstwo, ponieważ mu odmawiał pieniędzy na hulankę. Zawarłszy znajomość z Rossą, został zupełnie zepsuty; okradał ks. dobrodzieja, a gdy się to wydało, uciekł do Rossy i został jego nieostępnym towarzyszem. W kościele już go od dwóch lat nikt nie widział, ks. proboszcza unikał, a matkę ledwie co tydzień, albo co dwa tygodnie odwiedzał, jedynie z tej przyczyny, aby, jak się wyrażał, stara za nim nie łaziła i hańby mu nie robiła przed obcymi!

Matka i duszpasterz nie szczędzili żadnych środków i zabiegów, aby błądzącą nawrócić owieczkę, lecz i nieustanna modlitwa i posty i jałmużna nie odnosiły pożądanego skutku, bo Józef wpadał w coraz większe zuchwalstwo.

Z przykremi o Józefie myślami wracał nad ranem ksiądz Walenty do domu, nie zważając na to, że ciemne chmury powtórnie skupiają się nad molińską doliną. Schodząc z góry ostatniej i obracając się ku wiosce, nagle jasna błyskawica oświetliła okropny widok, który aż nogi jego podciął, że ani kroku z miejsca postąpić nie mógł.

Podczas błyskawicy ujrzał męża na ziemi w krwi leżącego; twarz blada była zupełnie podobna do przyjaciela jego, Branda, który go był odwiedził i znów powrócić przyrzekł. Nad nim schylony człowiek zdawał się nim zajmować.

— Czy to prawdą? czy to złudzenie zmysłów? — Tak się w duchu pytał, gdy w tej chwili nowa błyskawica pokazała mu, że schylony nad Brandem człowiek jest Józefem Witkiem, który wydobywszy z kieszeni zamordowanego pugilares, dobrze księdzu Walentemu znany, podniósł z ziemi flintę i szybkim krokiem uciekł w las.

— Bezbożny zabójco! — krzyknął ksiądz proboszcz, podnosząc latarnię do góry.

Głos kapłana przykuł zbrodniarza do ziemi, lecz tylko na chwilkę, bo opamiętawszy się, skoczył do gęstwiny i znikł w ciemności.

— Mój Boże! — zawołał ksiądz Walenty, przyświecając latarką do twarzy zbladłej, w której poznaje ukochanego przyjaciela; z piersi sączy jeszcze krew do mchu zielonego. Przyklęknąwszy nad nim i odsunąwszy kamizelkę, przekonał się, że kula przeszyła jego pierś, i że już ciało i członki ostygły.

Widząc, że o ratunku myśleć nie można, pomodlił się za spokój duszy niewinnie zamordowanego, a potem śpieszył do domu, aby się postarać o sprowadzenie trupa do swej plebanji.

— Czegoż dożyłem? najpoczciwszego męża zamordowano w mej parafji, a zabójcą jest Józef, którego kochałem jak własnego syna. Czy mam stanąć świadkiem przeciw Józefowi?

Sam nie wiedział, jak się dostał na cmentarz, właśnie w chwili, kiedy z wieży odzywał się dzwon na „Anioł Pański".

Niewypowiedziana boleść ściskała serce poczciwego kapłana, a zimny dreszcz, wskutek zaziębienia się a pewnie więcej z rozdrażnienia nerwów, przechodził go co chwilę naprzemian z gorączką, która mu głowę zawracała.

Śpieszy do kościoła, aby tam u stóp ołtarza szukać pociechy i oświecenia.

Klucz do kościoła nosił z sobą; odemknąwszy drzwi, zbliża się do ołtarza, lecz nie spostrzegł, że ktoś za nim wchodzi do świątyni.

Modlił się długo, a potem powstał z przedsięwzięciem oddać zabójcę w ręce sprawiedliwości.

Powstawszy, odchodzi od ołtarza, lecz przerażony nowym widokiem, zatrzymuje swe kroki; obok spowiednicy widzi Józefa, niby czekającego na spowiedź.

Po krótkim namyśle zapytał się kapłan:

— Czy żądasz Spowiedzi świętej?

Gdy zapytany odpowiedział skinieniem głowy, ksiądz Walenty usiadł w konfesjonale i wyspowiadał go.

Odchodząc Józef z kościoła bez rozgrzeszenia, odezwał się szyderczym głosem:

— Nie obawiam się zdrady, bo sekret spowiedzi wiąże usta kapłana.

Około południa zjechał do plebanji prokurator, komisja rządowa i dwóch żandarmów. Wprzód na miejscu zabójstwa skończyła śledztwo, teraz spisywano z księdzem Walentym protokół.

Po zwykłych formalnościach i różnych pytaniach, tyczących się zamordowanego Branda, rzekł sędzia:

— Z różnych powodów ciąży na księdzu podejrzenie, że ksiądz proboszcz popełniłeś zabójstwo!

— Ja? mój Boże!

— Nikt nie wiedział o powrocie Branda z Lagen, oprócz księdza; nikt w nocy nie był pod czarną skałą, oprócz księdza; nikomu nie było wiadomo, że



Podczas błyskawicy ujrzał męża w krwi leżącego.

Brand nosił z sobą wielką sumę pieniędzy; — cóż ksiądz na to?

— Wiedziałem o tem wszystkiem, lecz jakże można przypuszczać, żebym ja mógł zabójstwo popełnić na moim najwierniejszym przyjacielu? — Czy coś podobnego kapłan może popełnić?

— Przy trupie znaleziono brewjarz; czy ksiądz przyznaje, że jest księdza własnością?

Spojrzawszy na książkę odpowiada ksiądz Walenty:

— Zapewne wypadł brewjarz z kieszeni, kiedy się do zmarłego schyliłem.

— Prosimy o klucze do wszystkich szaf i stołów, bo się rozpocznie rewizja.

W małem biurku na stole znaleziono paczkę zawierającą dwadzieścia tysięcy franków i różne listy i zapiski Branda.

— Skąd się tu dostały papiery i pieniądze zamordowanego?

— Brand, wychodząc do Lagen, wręczył mi je do schowania.

Oprócz paczki w biurku nic nie znalazłszy, rzekł prokurator:

— Żądam w imieniu prawa, aby natychmiast księdza proboszcza uwięziono i odwieziono pod strażą do więzienia sądowego.

— Niech się dzieje wola Boża! — westchnął ksiądz Walenty.

Rossa, który był przy komisji obecnym, posłał po swoje konie; lecz nim wóz nadjechał, już wieść o zabójstwie i o uwięzieniu księdza proboszcza całą wioskę obleciała.

Gdy więźnia pod strażą odwożono, siostra księdza Walentego, wydawszy bolesny jęk, padła na ziemię zemdlona. Przed plebanją, na drodze i przed chatami pełno było ludu, lecz co najbardziej bolało uwięzionego, było to spostrzeżenie, że parafjanie jego nie okazywali żadnego współczucia i nieomal obojętni byli przy jego nieszczęściu; ledwie kilka osób pozdrowiło go na pożegnanie, wyrażając w głosie i postawie swój smutek, reszta z obojętnością przypatrywała się odjazdowi ich duszpasterza.

Była to sprawka Rossy, który ogłosił był na wszystkie strony, że proboszcz jest zabójcą i że śledztwo na plebanji dostarczyło najjaśniejszych dowodów jego zbrodni.

— Oto macie waszego świętoszka! — mówił między innemi Rossa — ja nigdy mu nie dowierzałem i dlatego was przestrzegałem, abyście się mieli na baczności przed chytremi jego słowami. Hańba to dla naszej parafji, że takiego potwora miała za duszpasterza!

Lud strwożony milczał; jedni ślepo uwierzyli Rossowi, który, jako obecny przy śledztwie, musiał najlepiej wiedzieć, jak rzeczy stoją; inni dopiero w domu wyjawiali swe wątpliwości, twierdząc, że pobożny ksiądz Walenty nie mógł tak okropnej popełnić zbrodni.

Wieść o niesłychanej zbrodni rozgłosiły gazety po całym świecie, a była to woda na młyn dla innowierców, którzy szeroko opisując popełnioną zbrodnię kapłana katolickiego, najokropniejsze zmyślali i dodawali opisy, donosząc światu, że tylko wiara katolicka wychowuje podobnych zbrodniarzy. Artykuły pism ich tak się zwykle rozpoczynały: „Jak zepsute jest duchowieństwo katolickie, dowodzi następujące zdarzenie w Molinie i t. d.".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kłamstwo starego dziwaka.

Jakaś dłoń silnie waliła w drzwi chaty starego Haralda Fenna.

— Otworzyć tam! Otworzyć!

Stary niechętnie odwrócił głowę w tym kierunku.

Cała wieś Fuglebjerg na duńskiem wybrzeżu Zelandji szanowała dotąd spokój starego dziwaka.

— Haraldzie Fenn! — cienki głos kobiecy rozległ się za drzwiami.

Stary otworzył.

Za drzwiami stała zadyszana od szybkiego biegu córka miejscowego oberżysty.

— Haraldzie Fenn... mój ojciec znalazł złoto... chodź prędko! masz powiedzieć, czy to naprawdę złoto! Ty się znasz.

Czy się znał? Dwadzieścia lat w piekle Klondyke wśród ludzi, trawionych gorączką złota... tego się napróżno nie przeżywa.

— Złoto? Tu? W Danji? Dziewczyno, chyba bredzisz...

— Haraldzie, chodź... Kopaliśmy nową studnię. Ojciec natrafił na grudki... ty powiesz!

Szedł za dziewczyną przez uliczki wioski portowej, zasnutej mgłą nadmorską...

Wieś była jakby wymarła. Wszyscy zgromadzili się koło studni oberżysty.

Magiczny wyraz „złoto" zaciążył nad cichą wioską.

Oberżysta tłusty, potężny, wygląda tak, jakgdyby miał za chwilę paść trupem: włosy zlepił mu na czole pot, dyszy ciężko...

— Haraldzie Fenn... — mówił zachrypniętym, przerywanym głosem... — czy to jest złoto? Gadaj!

Stary bierze do ręki grudkę, kruszy ją w palcach. Naokoło panuje śmiertelna cisza oczekiwania.

Fenn od pierwszego spojrzenia widzi, że to jest złoto. Przymyka powieki i widzi zadymione knajpy poszukiwaczy złota, słyszy zachrypłą pieśń gramofonu, przekleństwa, awantury, walkę o złoto.

Otwiera oczy i widzi zgromadzonych naokół siebie ludzi, którzy czekają na wyrok.

Widzi, jak narzeczony córki oberżysty, ubogi Olaf chce wziąć rękę dziewczyny, a ta mu ją gniewnie wyrywa. Może, za chwilę będzie miljonerką, a więc pocóż ma się czulić z tym biedakiem?

— No, Harald?

Fenn milczy, patrzy wokół, i widzi, jak żandarm wioskowy uprowadza młodego parobka, który usiłował schować jedną z grudek.

Pierwsza to kradzież w wiosce od miesięcy.

— No, Harald? Złoto?

Harald wie, że to złoto. Ale widzi tylko drżącą dłoń odtrąconego Olafa i łzy parobka, widzi chciwość na twarzy oberżysty, zawiść na oczach otoczenia...

I mówi powoli...

— Nie... nie wiadomo. To może być równie dobrze siarką, jak złoto... Trzeba to posłać do Kopenhagi na próbę chemiczną. Jutro przyjdę tu, wybiorę próbki, które pan pośle do zbadania.

I ciężkim krokiem odchodzi.

Nazajutrz zjawia się u oberżysty. Sam wybiera próbki, a gdy oberżysta odwraca się, szybkim ruchem wkłada coś do pudełka.

Z Kopenhagi przychodzi odpowiedź:

„To nie jest złoto. Siarka. Nie opłaca się eksploatować“.

Parobka wypuszczono z więzienia, córka oberżysty kocha nanowo Olafa, spokój panuje w Fuglebjergu.

Stary Fenn drepce po swym ogródku, trzęsie głową i uśmiecha się.

Legenda o szachach.

Na temat powstania szachów, jednej z najstarożytniejszych gier na świecie, istnieją liczne legendy. Oto jedna z nich:

Gra w szachy powstała w Indjach. Kiedy król Szeram poznał ją, zachwyt jego nie miał granic. Wydała mu się dowcipną i obfitującą w różnorodne, piękne kombinacje. Dowiedziawszy się, że twórcą jej był jeden z poddanych, rozkazał król sprowadzić go do siebie, chciał mu bowiem osobiście wręczyć odpowiednią nagrodę.

Wynalazca, Seta, stanął przed tronem władcy. Był to skromnie odziany uczony, który utrzymywał się z lekcyj.

— Pragnę wynagrodzić ciebie należycie za wspaniały wynalazek — rzekł król.

Mędrzec skłonił się.

— Powiedz tylko, czego pragniesz, a wszystko otrzymasz. Starczy mych bogactw, aby zadośćuczynić najśmielszym twoim życzeniom.

Seta milczał.

— No, nie krępuj się — zachęcał go król. — Powiedz, wszak nie poskąpię ci niczego.

— Wielka jest twoja dobroć, władco mój i panie, ale daj mi tylko czas do namysłu. Jutro wypowiem ci moje życzenie.

Król zgodził się.

Kiedy nazajutrz Seta stanął u stóp tronu, król zdumiony był, że uczony zwraca się z taką, niezwykle skromną prośbą.

— Królu — rzekł mianowicie — rozkaż dać mi za pierwsze pole szachownicy jedno ziarno pszeniczne.

— Jakto, zwyczajne ziarno pszenicy? — zdziwił się król.

— Tak, panie. Za drugie pole dasz dwa ziarna, za trzecie — cztery, za czwarte — osiem, za piąte — szesnaście, za szóste — trzydzieści dwa...

— Dość już, przestań — zawołał król z rozdrażnieniem. — Otrzymasz te nędzne ziarna za wszystkie 64 pola szachownicy. Niech tak będzie, jak tego pragniesz: za każde pole dostaniesz dwa razy więcej niż za poprzednie. Muszę ci tylko powiedzieć, żeś nie zasłużył na moją hojność. Prosząc o tak skromną nagrodę postępujesz całkiem nierozsądnie, gardzisz moją łaską. Zaiste! jako mędrzec mógłbyś bardziej godnie zachować się i należycie uszanować dobroć twego króla. Teraz jednak odejdź! Służba moja wyniesie ci worek z pszenicą.

Seta uśmiechnął się, opuścił salę i stanął przy wrotach, czekając na obiecany dar królewski.

Podczas obiadu, król przypomniał sobie wynalazcę i niezwłocznie posłał dowiedzieć się, czy nierozsądny Seta otrzymał już swoją nagrodę.

— Królu — brzmiała odpowiedź, nadworni matematycy pracują nad spełnieniem twego rozkazu; siedzą teraz i obliczają, ile wyniesie nagroda.

Zasępiło się czoło królewskie.

Nie przywykł bowiem czekać tak długo na spełnienie rozkazu swojego.

Idąc na spoczynek, król po raz drugi zapytał, czy Seta opuścił wreszcie mury.

— Królu — brzmiała znowu odpowiedź — matematycy pracują bez przerwy w nadziei, że przed świtem zakończą obliczanie.

— Dlaczegóż to tak długo trwa? — zawołał król z gniewem. — Jutro, zanim wstanę, ma być wszystko wydane mędrcowi, wszystko do ostatniego ziarna. Nie mam zwyczaju powtarzać moich rozkazów!

Nazajutrz oznajmiono królowi, iż najstarszy z matematyków dworu chce zrobić bardzo poważne zeznanie. Król rozkazał go przyjąć.

— Zanim wypowiesz, w jakiej sprawie przybywasz — przemówił król — chciałbym się dowiedzieć, czy Seta otrzymał wreszcie tę nędzną nagrodę, którą sam sobie wyznaczył.

— Właśnie... ta sprawa sprowadziła mnie do ciebie, najjaśniejszy panie, o tak wczesnej godzinie — odrzekł starzec. — Staraliśmy się jak najsumienniej przeliczyć ziarna, które ma Seta otrzymać. Liczba ich jest tak wielką...

— Gdyby nawet miała być największą — przerwał Szeram — spichrze moje nie zubożeją. Skoro przyobiecałem mu tę nagrodę, muszę słowa dotrzymać...

— Władco, nie w twojej to mocy zadośćuczynić podobnym życzeniom. We wszystkich twoich spichrzach nie posiadasz tej ilości ziaren, o jaką prosił cię Seta. Nie posiadają jej także wszystkie spichrze całego królestwa, a nawet całej kuli ziemskiej. A jeśli pragniesz dotrzymać słowa, to rozkaż wszystkie obszary ziemskie zamienić w pola uprawne, rozkaż osuszyć morza i oceany, oczyścić z lodów i śniegów dalekie pustynie północy. Niechaj na wszystkich tych ziemiach wyłącznie zasiana będzie pszenica. A potem

te plony oddaj Secie — to będzie nagroda, o którą cię prosił mędrzec...

Z niebywałem zdumieniem słuchał król słów starca.

— Wymień mi wreszcie tę potworną liczbę — rzekł w zadumie.

— Osiemnaście tryljonów, czterysta czterdzieści sześć tysięcy siedemset cztery biljony, siedemset trzy tysiące siedemset dziewięć miljonów, pięćset pięćdziesiąt jeden tysięcy, pięćset piętnaście ziaren. Biljon, królu, posiada miljon miljonów, a tryljon — miljon biljonów.

Kto chce sprawdzić to obliczenie, niechaj z całą cierpliwością weźmie się do obliczenia, ale, lepiej niech da sobie spokój, bo nie da rady. Pamiętać trzeba dla zrozumienia sprawy, że szachownica ma 64 pola i, że już od 2-go pola, każde następne w myśl zadania Seta, musi być podwajane.

Jerzy Daouvazo.



Poradnik gospodarczy.

Zwalczanie myszy.

Aby owoce pracy rolnika uszkodzić lub je zniszczyć, czyha zewsząd wielu nieprzyjaciół, którzy w większej części rolnikom dobrze są znanymi. Do tych nieprzyjaciół rolnika należą myszy, głównie polne, którym należy się nieubłagana walka wspólnemi siłami. Na pomoc przyrody, jak mrozy i śniegi, spuszczać się nie można.

Gdy swego czasu prof. Loefler zapomocą swego tyfusu mysiego (sztucznie wyhodowane bakcyle, wywołujące u myszy tyfus) wiele okolic Tessalji (kraina w półn. Grecji) od klęski z powodu pojawienia się ogromnej ilości myszy uchronił, zdawało się, że dla myszy „wybiła ostatnia godzina". Zdawało się, że środek ten, gdzie potrzeba, stosowany, „przetrzebi" myszy w tym stopniu, że kłopotu z niemi nie będzie. Jednakże na razie środkowi temu nie można przypisać tego skutku, jakiego się w każdych warunkach spodziewano. Być może (a co bardzo jest prawdopodobnem) niepowodzenie z „tyfusem mysim" przypisać można błędnemu użyciu, może też zarazki przy przechowaniu ucierpiały. Bo wiedzieć trzeba, że „tyfus mysi" to nie martwa trucizna, tylko są to żyjątka-bakcyle, które w niekorzystnych warunkach siłę żywotną łatwo zatracić mogą.

Bardzo wielu jednak rolników bywa z „tyfusu mysiego" zadowolonych. Tak np. piszą, że stosowali różne trucizny, dali zabijać myszy za pługiem przez dzieci, i wogóle stosowali wszystkie z dotąd znanych sposobów.

Widoczniejszego skutku atoli nie było. Natomiast „tyfus mysi" straszne czynił spustoszenia, bo myszy masami ginęły (zdychają także myszy, które nagryzą padłe wskutek tyfusu sztuki).

Najstosowniejszą porą tępienia myszy będzie niezawodnie pora ku wiośnie. Myszy nadzwyczaj się rozmnażają tak, że jedna para przez lato setki nowego pokolenia wydać może, to też należy je tępić na każdym kroku i bezwzględnie.

Rolnik posiada przyjaciół w niektórych zwierzętach, które tępią myszy. Tym należy się ochrona, a nie bezmyślne zabijanie przy każdej sposobności.

Tępią myszy np.: sowa, jeż, lis (o ile w pewnej miejscowości nie ma nadmiaru lisów, nie są one pod innym względem szkodliwymi), łasiczka. Niezawodnie także wrony uganiać się będą za myszami w polu, skoro otwory się zadepce, tak, że myszy dłuższy czas na powierzchni zmuszone są przebywać (bo nie mogą łatwo znaleźć otworu do podziemnego schroniska).

Aby uniemożliwić, a przynajmniej utrudnić myszom „rozkwaterowanie" się po polu, powinno się wszelkie stosowne dla myszy schroniska z pól usuwać. Schroniskami są: łęty ziemniaczane, liście buraczane i resztki warzyw, gromady z mierzwą i wszelkie podobne pozostałości (lichy coprawda gospodarz, który także z innych względów nie usuwa wcześnie łętów, resztek od kapusty, liści, który nie rozrzuca dokładnie mierzwy natychmiast za wozem).

Pewien rolnik wykorzystał tę właściwość myszy, chowania się pod jakiebądź „schroniska", aby je tępić. Otóż umieszczał wiechcie ze słomy długie i grube coś po 24 cm. na polu w miejscach najwięcej nawiedzonych, w odległości od 15 do 25 kroków. Pod wiecheć podłożył arkusz papieru 15 cm. w kwadracie, na który wysypał czubatą łyżeczkę od kawy trucizny. Wiecheć słomiany trzeba zapomocą kołka przymocować, aby wiatr go nie zwiał. Nory mysie trzeba zadeptywać, spożytą truciznę nową zastąpić. W 14 dniach „przetrzebił" ów rolnik na swem polu myszy, byłby je może wytępił, gdyby nie miał z trudnościami do walczenia, ponieważ myszy z sąsiednich pól przechodziły. Niewdzięczna to robota, jeżeli sąsiad nie poczuwa się do obowiązku tępienia szkodników wszelkiego rodzaju, a więc także myszy polnych

Rady praktyczne.

Żyto, czy pszenica? Wielu gospodarzy poczytuje sobie za ambicję w gospodarstwie swojem zasiewać jak najwięcej pszenicy, bo zresztą sądzą, że im się to lepiej opłaci, gdyż cena pszenicy jest zawsze wyższa, niżli żyta. Takie zapatrywanie jest mylne, bo pszenica wymaga dobrego, zasobnego w pokarmy roślinne gruntu i dlatego nie wszędzie się udaje. Na gruntach przeważnie piaszczystych, nigdy nie można liczyć na dobry urodzaj.

Na gruntach piaszczystych najwłaściwszą jest uprawa żyta i jest to jedyna roślina, która nawet rok po roku po sobie uprawianą być może, co wykonywa się w ten sposób, że w ozimem życie na wiosnę sieje się seradelę. Po sprzęcie żyta seradela wyrasta bujnie i przydaje się na zielony nawóz, na którym ponawia się żyto, co można powtarzać przez lat kilkanaście i dlatego taką uprawę żyta nazwano „żytem wiecznem". Dobry urodzaj żyta lepiej się opłaci, niżli mierny pszenicy, a w dodatku daje nam więcej słomy, co w gospodarstwie niemałą ma wartość. Dlatego też nie lekceważmy uprawy żyta i na gruntach mniej odpowiednich dla pszenicy, siejmy żyto, a lepiej się to nam opłaci, niż niepewna uprawa pszenicy.

KRONIKA.

Nasza nowa powieść. W numerze dzisiejszym rozpoczynamy druk nowej dłuższej powieści historycznej p. Marji Waller p. t. „Stłumione echa“. Jest to utwór dłuższy, napisany nadzwyczaj barwnie, stylem potoczystym, o zajmującej treści. Fabuła powieści od pierwszych wierszy aż do końca przykuwa uwagę czytelnika, a w miarę rozwoju akcji zaciekawienie z każdą chwilą się potęguje. Nazwisko p. Waller dla naszych Czytelników nie jest obce: drukowaliśmy bowiem w bieżącym roku szereg jej krótszych utworów, a w ostatnich czasach jej miłe opowiadania, jak „Wierchy i bagna“, „Dwa listy“ i inne. — Jakkolwiek p. Waller dotychczas nie ogłosiła jeszcze żadnej swej pracy w formacie książkowym, należy przypuszczać, że stanie się to wkrótce, gdyż czytaliśmy w rękopisie jej piękną powieść fantastyczną, która niezawodnie rychło znajdzie nakładcę. Celem zaznajomienia naszych Czytelników z Autorką powieści „Stłumione echa“, podajemy obok Jej podobiznę.



Policja na uczcie weselnej. W kaplicy przy ulicy Grzegórzeckiej w Krakowie odbył się ślub niejakiego Władysława Kołodziejczyka, na który przybył też Fryderyk Leniewicz, młodzian wytworny i cieszący się wielkim mirem wśród płci pięknej na całych Grzegórzkach, ale żyjący nieco na bakier z policją, która ciągle ma do niego pretensje o jakieś napady bandyckie i pospolite kradzieże. Gdy po ceremonji ślubnej orszak weselny, oraz goście, a wśród nich i Leniewicz, znaleźli się w mieszkaniu panny młodej, dom przy ul. Miedzianej został natychmiast otoczony przez silny oddział policji, poczem przedstawiciele władzy wkroczyli na zabawę i chcieli aresztować Leniewicza. Lecz wszyscy goście weselni, jak jeden mąż, stanęli w obronie wytwornego salonowca i zaczął się bój, podczas którego jedna strona posługiwała się jako bronią butelkami, półmiskami i sprzętem kuchennym. Wobec przeważającej siły weselników, którzy nawet strzelali z rewolwerów, policja wezwała posiłki i wkroczywszy do domu, poddała go gruntownej rewizji. Poszukiwanego Leniewicza jednak znaleziono dopiero w trzecim domu, ukrytego w kufrze, w przebraniu kobiecem i trzymającego w ręku rewolwer dużego kalibru. Został on aresztowany wraz z sześcioma innymi gośćmi weselnymi, oddawna poszukiwanymi złodziejami.

Wybory do Sejmu w okręgu przemyskim. W niedzielę 22 listopada br. odbyły się w okręgu przemyskim uzupełniające wybory do Sejmu z powodu unieważnienia poprzednich. Oddano 208.212 głosów, z których lista 1 (BBWR) uzyskała 95.060 głosów i 4 mandaty, lista 4 (N. D.) 24 516 głosów bez mandatu, lista 7 (Centrolew) 46 535 głosów i 1 mandat, lista 11 (Rusini) 38 439 głosów i 1 mandat. Inne listy otrzymały tylko drobne ilości głosów. Posłami zostali wybrani z BBWR. pp. Andrzej Galica, Stanisław Augustyński, Józef Jurczyk i Stanisław Grodzicki; z listy nr. 7 Jakób Pawłowski, z listy nr. 11 Dr. Włodzimierz Zahajkiewicz.

Nowy prezydent miasta Lwowa. Prezydentem m. Lwowa został wybrany p. Wacław Drojanowski, wicewojewoda lwowski. P. Drojanowski był od roku 1926 do 1929 prezydentem miasta Kowla, poczem pełnił obowiązki starosty powiatowego w Włodzimierzu Wołyńskim, wreszcie w roku 1930 został mianowany wicewojewodą lwowskim, na którem to stanowisku pozostał do obecnej chwili.

Napad bandycki pod Piotrkowem. Komenda policji w Piotrkowie zaalarmowana została wiadomością o zuchwałym napadzie rabunkowym, dokonanym w lesie pod wsią Gombinów, gminy Jędrzejów, w powiecie piotrkowskim. Około godziny 5 po południu, jadący wozem dwaj wieśniacy Antoni Goździk i Leon Śmiecha, zostali zatrzymani przez czterech zamaskowanych osobników, z których dwaj uzbrojeni byli w rewolwery. Bandyci, sterroryzowawszy napadniętych groźbą użycia broni, przystąpili do obrabowania swych ofiar. Śmiechowi zrabowano z kieszeni 80 złotych. Kiedy bandyci zajęli się rewidowaniem drugiego z wieśniaków, Śmiecha, siedząc na wozie, wydobył z pod siedzenia rewolwer i strzelił w kierunku bandytów. Ci, spłoszeni, rzucili się do ucieczki. Wówczas Śmiecha strzelił kilkakrotnie, wszystkie kule jednak chybiły. Bandyci spłoszeni strzałami nie zdążyli obrabować Goździka, który posiadał przy sobie znaczniejszą sumę pieniędzy. Zaalarmowana wiadomością o napadzie policja, zarządziła niezwłocznie obławę, w wyniku której zatrzymano kilku podejrzanych osobników.

Masowe zatrucie gazem. W ubiegły czwartek zdarzył się w Warszawie straszny wypadek, który pociągnął za sobą śmierć kilku osób. W suterenach domu przy ulicy Piekarskiej zajmowała małe mieszkanie jednoizbowe rodzina kelnera Kwiatkowskiego. W mieszkaniu tem uległy śmiertelnemu zatruciu gazem żona Kwiatkowskiego Stanisława i ich czteroletnia córeczka Irena, a gdy dostano się siłą do mieszkania sam Kwiatkowski dawał już tylko słabe oznaki życia. Okazało się, że gaz rozszedł się i po innych mieszkaniach, sąsiadujących z izbą, zajmowaną przez Kwiatkowskich. W sąsiedniem mieszkaniu zostali zatruci Ludwik Chmielewski i jego żona Marja, oraz ich sublokatorka Chojnacka i jej ośmioletni synek. Powodem owego zatrucia było pęknięcie rury gazowej, z której gaz rozchodził się po najniżej położonych mieszkaniach i zatruwał nieszczęśliwe ofiary.

Straszna śmierć w płomieniach. W Warszawie przy ul. Wolskiej na trzeciem piętrze w mieszkaniu Ignacego Osuchowskiego. szofera, wybuchł pożar, poprzedzony silną detonacją. Wskutek detonacji ściany pokoju, zajmowanego przez Osuchowskiego, zawaliły się do sąsiedniego mieszkania. Z powodu pożaru ulegli zupełnemu spaleniu: Osuchowski, siostra jego Leokadja oraz jego narzeczona. Pożar przeniósł się do sąsiedniego mieszkania, w którem również spaliła się Władysława Kasik, żona policjanta i jej dwuletnie dziecko. Prócz tego bardzo ciężkich poparzeń doznały dzieci Okoniewskiej, lat 10 i 12, oraz syn posterunkowego Kasika. Wszyscy oni w stanie ciężkim odwiezieni zostali do szpitala. Przyczyną pożaru był wybuch benzyny, która znajdowała się w bańkach w mieszkaniu Osuchowskiego w znacznej ilości. Pożar po kilkugodzinnej akcji ugaszono.

Matkobójcy. Z Łodzi donoszą: Wieś Lubośnia, pow. podlaskiego, była onegdaj terenem podwójnej zbrodni. We wsi tej zamieszkuje rodzina Kulińskich, zamożnych wieśniaków. Przed dwoma laty zmarł stary Kuliński, pozostawiając 60-letnią żonę Józefę i dwóch pasierbów Adama i Franciszka Jesionków. Po śmierci ojca obaj bracia objęli w posiadanie całe gospodarstwo, przyrzekając matce płacić t. zw. alimenta aż do śmierci. Po upływie krótkiego czasu obaj poczęli się nad staruszką w okrutny sposób znęcać, odmawiali jej pożywienia, wy-

syłając po jałmużnę. Maltretowana kobieta zwróciła się wówczas do sołtysa, który zwołał gromadę, aby wpłynęła na synów i zmusiła ich do wypełnienia przyjętych na siebie obowiązków wobec matki pod groźbą odebrania im prawa władania ojcowizną. Od tego czasu wyrodni synowie postanowili pozbyć się matki. Młodszy syn Franciszek pod jakimś pozorem przywołał matkę do okna, starszy zaś Adam w chwili, gdy matka stała przy oknie, wystrzelił do niej z tyłu z rewolweru, kładąc ją trupem na miejscu. Po dokonaniu zbrodni obaj bracia wybiegli z domu, wzywając pomocy i oświadczając sąsiadom, że matka została zastrzelona przez bandytów. Po przybyciu do mieszkania sąsiedzi znaleźli zwłoki staruszki z przestrzeloną głową Zaalarmowana policja wszczęła natychmiast energiczne śledztwo i aresztowała obu wyrodnych synów, którzy przyznali się do matkobójstwa. Na wieść o zbrodni tłum wieśniaków usiłował dokonać samosądu nad aresztowanymi zbrodniarzami. Obu braci skuto w kajdany i przewieziono do aresztów przy urzędzie śledczym w Łodzi. Obaj staną przed sądem doraźnym.

Straszna zbrodnia obszarnika. W miejscowości Bugow koło Starego Lasu na Pomorzu niemieckiem dokonano straszliwej zbrodni. Właściciel majątku, Hennings, wyprowadził swoją żonę do lasu na polowanie. Gdy żona weszła między drzewa, zaplątała się w drut, przeciągnięty wpoprzek drzew. Wówczas wypaliła strzelba przywiązana w sposób przygotowywany w Afryce przy zastawianiu pułapek na lwy. Nieszczęśliwa kobieta zmarła wskutek odniesionej rany. Policja aresztowała właściciela majątku, podejrzewając go o ukartowanie zbrodni.

Niezwykła przygoda w pociągu. Niezwykłą przygodę przeżyli pasażerowie pociągu osobowego, idącego w nocy z Wilna do Warszawy. Około godz. 9 pociąg minął Landwarowo i biegł szybko przez mroki wieczorne. Wtem podróżni posłyszeli salwę karabinową. Strzały stawały się coraz gęstsze, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze. Wszyscy stłoczyli się przy oknach. Ktoś wspomniał o bliskości granicy litewskiej, ktoś powiedział „szaulisi“, ktoś krzyknął: „wjechaliśmy w strefę ognia nieprzyjacielskiego“. Wtem zgrzytnęły hamulce i pociąg stanął w szczerem polu. Teraz ogień wzmógł się, grzmiały karabiny ręczne, grzechotały „maszynki“ a podróżni ogarnięci paniką, kładli się pokotem na podłodze lub kryli się pod ławkami. Jedynie policjanci, jadący tym pociągiem, nie tracili zimnej krwi. Wyskoczyli na tor, gotowi do odparcia „nieprzyjaciela“. Wnet jednak wprawne ich uszy rozpoznały, że jest to strzelanina ślepemi nabojami, a w świetle rakiet dojrzeli mundury polskich żołnierzy. Istotnie, w pobliżu toru kolejowego odbywały się nocne ćwiczenia oddziałów wojskowych. Maszynista nie zdający sobie sprawy z powodów tej strzelaniny, zatrzymał pociąg dla wyjaśnienia zajścia. Po 5-minutowym postoju pociąg ruszył z miejsca, ale pasażerom było trochę nieprzyjemnie.

Polowanie na człowieka. Z Wilna donoszą: Niecodzienny wypadek usiłowania zabójstwa miał miejsce we wsi Kozaryszcze gm. gródeckiej. Mieszkaniec tej wsi Jan Orło, chcąc zemścić się na swym sąsiedzie Konstantym Borowskim, z którym miał sprawę sądową, usiłował go zamordować. W tym celu zaczaił się wieczorem przed jego mieszkaniem i gdy Borowski wracał do domu, zarzucił mu na szyję sznur i usiłował go zadusić. Na szczęście podczas szamotania się nadeszli brat Borowskiego Borys, Władysław Bubren i S. Adamowicz, którzy duszonego Borowskiego uwolnili. Powiadomiona o zajściu policja Orłę aresztowała, a po spisaniu protokółu odstawiła do sądu.

Niezwykłe odzyskanie mowy. Na odcinku Dołhinów na pograniczu polsko-sowieckiem usiłowało przedostać się kilku chłopów, a wśród nich były sierżant korpusu Dowbora Muśnickiego, Adolf Grzemielewski, ostatnio przebywający na Syberji. Podczas utarczki ze strażą bolszewicką jeden z rzuconych przez nią granatów upadł tuż przy Grzemielewskim, który był od czasu wielkiej wojny niemową. Detonacja przy jednoczesnem ogromnem napięciu nerwów spowodowała, że kaleka zupełnie niespodziewanie odzyskał swoją mowę. Pod obstrzałem strażników zdołał on przejść granicę do Polski.

Starcie bezrobotnych z żandarmerją. We Frywałdzie na Śląsku czeskim przyszło do krwawego starcia między bezrobotnymi a żandarmerją. Bezrobotni chcieli urządzić na rynku manifestację, a gdy żandarmerja zamknęła wszystkie drogi do rynku, usiłowali przerwać kordon. Wówczas żandarmerja dała salwę do tłumu, wskutek której padło 7 osób zabitych i 17 rannych. W odpowiedzi na to z tłumu posypały się kamienie, które zraniły 7 żandarmów.

Żywa pochodnia. W Bombergu w Bawarji żona pewnego urzędnika pocztowego wyszła przed południem na zakupy, zostawiając w mieszkaniu dwoje małych dzieci, w wieku 4 i 5 lat. W pewnej chwili rozległy się z kuchni, gdzie dzieci się bawiły, rozpaczliwe krzyki.



Jeden z sąsiadów wyłamał drzwi i zastał czteroletnią dziewczynkę płonącą jak żywa pochodnia. Udało mu się zdusić płomienie, ale dziecko zmarło wkrótce wskutek odniesionych poparzeń. Nieszczęście zdarzyło się na tle zabawy zapałkami. Drugie dziecko uciekło w niebezpiecznej chwili do przyległego pokoju.

Walka kobiet na grobie. Jasne słońce świeciło nad cmentarzem. Był pogodny dzień świąteczny, więc liczni krewni odwiedzali groby swych bliskich. Na jednej z widocznie świeżych mogił leżały stosy wieńców. Przy grobie klęczała starsza kobieta w żałobie. Była to pani Teresa B. Opłakiwała syna, który umarł młodo przed kilkoma dniami. Nagle do tegoż grobu zbliżyła się druga kobieta w żałobie, znacznie od tamtej młodsza. W ręku trzymała wieniec świeżych kwiatów. Gdy ujrzała staruszkę, klęczącą na grobie, powiedziała z gniewem: „Niema się co teraz modlić na grobie, gdy za życia się zmarłemu tylko dokuczało“. Obrażona matka chwyciła wieniec przyniesiony przez synową i cisnęła go na alejkę, krzycząc: „To ty byłaś mu złą żoną“... Synowa nie została dłużną. Poszarpała w drobne kawałki kwiaty, które przyniosła teściowa. Nad grobem zawrzała walka, której epilog rozegrał się w sądzie. Sędzia, wysłuchawszy obu rozżalonych kobiet, w których rozpacz po stracie ukochanego człowieka obudziła dotychczas ukrywaną nienawiść, powiedział: „Pamięć człowieka, którego obieście kochały, powinna was pogodzić. Nawet wiedza dzisiejsza przypuszcza, że umarły

widzi, co się dzieje na ziemi. Cóżby powiedział na tę kłótnię?" Teściowa i synowa spojrzały po sobie. Potem ze szlochem upadły sobie w ramiona. Nazajutrz wspólnie stroiły grób na cmentarzu

Wykrycie tajnych planów wywrotowych w Niemczech. W Darmstadzie wykryto tajne plany wywrotowe, przygotowane przez partję narodowo - socjalistyczną, zwaną inaczej hitlerowcami. Partja ta ma podobny program do programu naszej narodowej demokracji. Plan ten przewiduje rewolucję przeciw obecnemu rządowi niemieckiemu, a wrazie zwycięstwa tej rewolucji podaje gotowe przepisy dla zwycięzców. W wypadku tym wszelkie artykuły żywnościowe w całym kraju zostałyby skonfiskowane, wolna sprzedaż byłaby wzbroniona. Za przekroczenie tego przepisu grozi konfiskata majątku, względnie kara śmierci. Ludność dostawałaby na żywność kartki, coś tak, jak w Rosji. Rewolucjoniści objęliby zarząd całego majątku państwowego i dochodów osób prywatnych. Zaprowadziliby przymus pracy. Żydzi byliby wyjęci zupełnie z pod prawa i t. d. Jak widzimy z tego, wrazie wybuchu takiej rewolucji hittlerowskiej w Niemczech i jej zwycięstwa byłby to drugi „raj" bolszewicki w Europie.

Fatalna pomyłka ślubna. Pewna para oblubieńców, którzy w danej chwili znajdują się w podróży poślubnej w południowej Francji, zdziwi się niepomiernie, gdy, po powrocie do Paryża dowie się, że ceremonja ich ślubu w urzędzie stanu cywilnego jest nieważna i że właściwie małżeństwo ich nie zostało zawarte. Odkrycie to zrobili urzędnicy centrali zarządu miasta w ratuszu. Stwierdzili oni wprawdzie, że ceremonja ślubna odbyła się według wszelkich form, tylko że papiery, podpisane zarówno, przez państwa młodych jak przez świadków, tyczyły się zupełnie innego ślubu, mającego się odbyć następnego dnia i zostały im podsunięte przez omyłkę Zawiadomiono o tem ojca pana młodego, który przyjechał do Paryża na uroczystość ślubu syna z miejsca swego zamieszkania, odległego od stolicy o 600 km. Niestety i on nie może podać adresu młodej pary, która znajduje się w podróży i ciągle zmienia swe miejsce pobytu. Dopiero więc po powrocie nowożeńców będzie można naprawić błąd i ulegalizować związek małżeński. Dla ścisłości trzeba dodać, że mowa tu o ślubie cywilnym a nie kościelnym.

Odważna narzeczona. Dzienniki paryskie opowiadają, że pewna młoda panna tak usilnie nalegała na pogromcę lwów, produkującego się w menażerji na jednem z przedmieść stolicy Francji, że wkońcu uległ prośbom panny i w tych dniach zabrał ją do klatki z lwami. Panna, podtrzymywana przez pogromcę, wytrwała w klatce do końca przedstawienia. Zapytana następnie, dlaczego zdobyła się na krok tak ryzykowny, odparła: „Chciałam pokazać memu narzeczonemu, że jestem odważna!" Bądź co bądź przyszły małżonek tej panny, który z trwogą patrzał na odwagę swej najdroższej, musi być na wszystko przygotowany.

Straszna tragedja rodzinna. Tragiczna scena rozegrała się niedawno w małej wiosce francuskiej Bagnolet. Zamieszkały w tej wsi robotnik Baillet, liczący 37 lat był nałogowym pijakiem i zadręczał nieustannemi awanturami swoją młodą żonę, matkę dwojga dzieci, z których starsze, chłopak Jan, liczyło 14 lat. Ponieważ awantury brutalnego męża przybierały charakter niebezpieczny, żona ukryła rewolwer męża z obawy przed wypadkiem. Przed kilku dniami Caillet wrócił do domu pijany i rozpoczął z żoną gwałtowną sprzeczkę. W czasie tej sprzeczki odszukał rewolwer i rzucił się na żonę, grożąc jej śmiercią. Nieszczęśliwa kobieta ukryła się w ogrodzie. Wówczas Caillet puścił się za nią w pogoń. Widząc to, mały Jan postanowił rozbroić ojca Chwycił go więc za rękę, usiłując odebrać mu broń. Wśród szamotania się rewolwer wypalił i zabił na miejscu ojca.

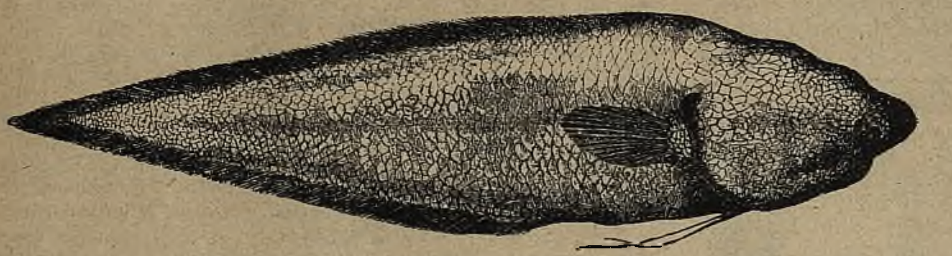
Bohaterski czyn służącej. Ogólnym tematem rozmów w Londynie jest bohaterski czyn 25-letniej służącej Doroty Bunish, która od niechybnej śmierci uratowała troje dzieci swych chlebodawców. Oto bliższe szczegóły tego zdarzenia, o którem szeroko rozpisuje się obecnie prasa angielska. Dorota Bunish służyła u państwa Smithów. Małżonkowie pracowali oboje dla utrzymania rodziny, pozostawiając dzieci pod opieką służącej. On był urzędnikiem bankowym, a ona sprzedawczynią sklepową. Z Doroty byli bardzo zadowoleni, gdyż opiekowała się w iście macierzyński sposób dziećmi, które się do niej serdecznie przywiązały. Pewnego wieczora poszli Smithowie wyjątkowo do teatru. Służąca zauważyła brak mleka i postanowiła udać się po nie do sklepu. Nakazała zatem 5 letniemu Adamowi, aby uważał na 3 letniego Karola i jednoroczną Zuzię, oświadczając, że zaraz powróci. Gdy jednak po kwadransie zjawiła się w mieszkaniu, ujrzała, że kuchnia, w której znajdowały się dzieci, ogarnięta jest morzem płomieni. Nie zastanawiając się długo nad przyczyną pożaru, zdobyła się na szybkie i heroiczne postanowienie. Nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, rzuciła się do środka i wyniosła kolejno wszystkie dzieci, które odniosły tylko nieznaczne obrażenia. Okazało się potem, że właśnie Adam, który miał się opiekować młodszem rodzeństwem, wpadł na niefortunny pomysł otworzenia drzwiczek pieca i bawienia się płonącem drzewem. Garść rozpalonych głowni padła na podłogę i niebawem kuchnia została ogarnięta płomieniami. Sama bohaterska służąca wyszła znacznie gorzej z tej opresji, niż powierzone jej opiece dzieci. Oto zajęły się jej włosy, a twarz i ręce uległy silnemu poparzeniu. Biedna dziewczyna przebywa obecnie w szpitalu, lecz stan jej zdrowia nie jest wcale groźny.

Dolara za jajko. Amerykanka, pani Harrfel Labadie, ogłosiła niedawno w pewnym nowojorskim dzienniku interesujące, narodowo ekonomiczne studjum o stosunkach na Alasce, tej krainie złotodajnej, z którego to studjum warto przytoczyć kilka szczegółów. Wedle jej zdania środki żywności we wszystkich miejscowościach na Alasce są wprost niewiarygodnie wysokie. Tak na przykład płaciła ona za pomarańczę pół dolara, za jajko dolara, za mały befsztyk dwa i pół dolara a około dolara za pieczonego ziemniaka. Powodem tej straszliwej drożyzny jest to, że środki żywności musi się przywozić na Alaskę okrętami w lecie, gdy drogi wodne są otwarte i to z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Możnaby je wprawdzie przywozić w zimie na sankach ciągnionych przez psy, ale straszliwe zimno nie pozwala na to. Główne pożywienie stanowią konserwy. Wedle zdania pani Labadie, w Alasce niema ani jednej krowy i tylko kilkanaście kur, które w lecie wiodą marne życie, a z początkiem zimy giną. Nie mogą one żyć w zimie, żyć nawet w opalanych izbach. Jedyną jarzyną jaka się udaje na Alasce są pomidory i sałata w cieplarni gubernatora. Obecnie są czynione próby z sianiem i sadzeniem roślin, gdyż w lecie udają się niektóre ich rodzaje. Między innemi poczyniono nienajgorsze doświadczenia z uprawą pszenicy. Wedle teorji, rośliny powinnyby róść tam bardzo szybko, gdyż na Alasce niema nigdy nocy w lecie, skutkiem czego rośliny mają „dwa razy tyle czasu" by róść. Kwiaty na Alasce odznaczają się nadzwyczajnem bogactwem barw. Olbrzymie ceny środków żywności na Alasce mniej zdumiewają, gdy się porówna płace robotników. Tak naprzykład, najniższy robotnik w kopalni zarabia dziennie 5 dolarów.

RZECZY CIEKAWE.

Ryby bez oczu.

W poprzednim numerze „Roli" zamieściliśmy obrazek, przedstawiający ryby morskie o olbrzymich oczach, któremi ryby te nietylko widzą, ale blaskiem swym oświecają najbliższą przestrzeń. I rzecz to całkiem naturalna, bo tam, gdzie nie dochodzi nawet najmniejszy promyk słońca, jest im potrzebne jakie takie światło, aby mogły zobaczyć, co się wokoło nich dzieje. A przecież w tych głębinach morskich żyją i takie ryby, które nietylko świecących, ale żadnych oczu nie mają, albo jeżeli mają, to tak zanikłe, że wcale do ócz nie są podobne. Zdaje się, że i te niewidome zupełnie ryby miały kiedyś oczy, ale ponieważ były one im zupełnie niepotrzebne, więc je powoli zatracały, aż zatraciły je zupełnie. I dziś obchodzą się bez nich całkowicie, a zdaje się, że zdobycz dla siebie wyczuwają jedynie całem ciałem, które prawdopodobnie jest zazwyczaj na wszystko wrażliwe. Żyjątka te nie wychylają się nigdy z otchłani morskich, nigdy też światu Bożego, ani jego piękności nie widziały. Taką oślepłą zupełnie rybą głębin morskich jest „Typhlonus nasus", przedstawiony na naszym obrazku.



Dzieje pocztówki.

Pierwsza karta pocztowa przyszła na świat w Anglji. Twórcą jej był pomysłowy minister Tuck. Rozpowszechniła się jednak karta pocztowa dopiero po napisaniu przez profesora Emanuela Hermana w r. 1869 artykułu, propagującego tę nową formę listu. Autor wskazał, że karta pocztowa może z powodzeniem zastąpić list zamknięty, gdyż treść listu nie wymaga tajemnicy. Pierwsza poczta austrjacka zaczęła masowo drukować karty pocztowe, a w ślad za nią poszły Niemcy.

Później powstały pocztówki. Były to karty z widokami różnych miejscowości. Niekiedy na kartach tych były drukowane pozdrowienia z jakiegoś uzdrowiska, np. z Ciechocinka.

Karty pocztowe stały się modne. Ludzie zaczęli zbierać różne rodzaje kart. Powstały związki zbieraczy. Wybierano się specjalnie w podróże po świecie dla zdobycia nowych kart. Rozpoczęła się korespondencja między kolekcjonerami ze wszystkich stron świata dla dostarczenia pocztówek. Tworzyły się nawet specjalne przedsiębiorstwa, które wysyłały swych przedstawicieli do dalekich krajów, a ci pisali stamtąd karty do klientów.

Z czasem karty się udoskonaliły. Wyrabiano wypukłe pocztówki, główki z puklami prawdziwych włosów, kotki ze świecącemi kamyczkami w miejscu oczu.

Podczas wojny rozpowszechniły się szczególnie tak zwane karty wojenne.

Dzisiaj modne są bardzo podobizny gwiazd filmowych, zbierane namiętnie przez kinomanów.

Niedawno wynaleziono tak zwaną „mówiącą pocztówkę", która jest właściwie płytą gramofonową. Dzięki specjalnemu aparatowi każdy może nagrać taką pocztówkę i przesłać ją do znajomych. Ci kładą pocztówkę na gramofonie, puszczają go w ruch i cały „list" mogą usłyszeć.

Pocztówka taka pozornie nie różni się od innych. Pokryta jest jednak cała drobnemi, niedostrzegalnemi linjami, jak płyta gramofonowa.

Ucieczka szczurów przed burzą.

Obserwacje, poczynione w czasie ostatnich kataklizmów atmosferycznych w Anglji wykazały, że szczury należą do zwierząt najbardziej czułych na wszelkie zmiany pogody.

Instynktu tego mógłby im pozazdrościć nietylko każdy człowiek, ale nawet wszyscy uczeni meteorologowie. Na 24 godziny przed wybuchem gwałtownych burz, jakie ostatnio nawiedziły kanał La Manche i jego wybrzeża, widziano w dokach miast portowych setki szczurów, które opuszczały gromadnie swe dotychczasowe kryjówki, udając się całemi stadami do domów, położonych w głębi lądu. Było to, jak się okazało, przeczucie bardzo trafne, gdyż już następnej nocy po ich emigracji, wszystkie zabudowania portowe, które udzielały schronienia tym gryzoniom, zostały zniszczone częściowo przez wodę, a częściowo przez burzę. Obecnie szczury widocznie przewidują poprawę pogody, gdyż gromadnie powracają do swych dawnych siedzib ku wielkiej radości właścicieli domów, które bardzo ucierpiały wskutek inwazji natrętnych szkodników.

Barwienie drzew na pniu.

Od dłuższego czasu były robione próby barwienia drzewa na pniu, przez wykonywanie zastrzyków do jego wnętrza w okresie wiosennym. Próby te dawały małe rezultaty, gdyż nadane drzewom kolory okazywały się bardzo nietrwałymi.

Obecnie w Ameryce studjuje się nowy proces niemiecki, który jakoby ma prowadzić do rozwiązania tego zagadnienia. Kolory, otrzymane tą drogą, mają nietylko zachowywać się z czasem, ale nawet potęgować. Istnieją już nawet drobne przedmioty wyrobione z tak zabarwionego drzewa, które należy przyznać, zachowują doskonale swą barwę. Barwnik zostaje wprowadzony do drzewa zapomocą szeregu otworów, wywiercanych w pniu, na wysokości około czterech stóp od ziemi, a także otworów zrobionych w dwóch lub trzech grubych korzeniach. Barwnik, umieszczony w zbiorniku na wysokości 12 stóp, rozprowadza się przez otwory w drzewie zapomocą rurki kauczukowej. Operacja ta jest jednak dość kosztowna, choć to nie może zniechęcić producentów, przewidujących otwarcie się nowych rynków na drzewo barwione.

Szkło pancerne.

W mieście Clifton, w stanie New Jersey, odbyła się w tych dniach niezwykle ciekawa demonstracja, urządzona przez p. Le Harry, wynalazcę szkła kulochronnego.

Wynalazca stanął za wielką szybą swego szkła, przed szybą zaś, zajął miejsce (w odległości około metra) policjant miejscowy, Thomas Crawbrick, uzbrojony w nowoczesny rewolwer policyjny i na

dany znak zaczął strzelać do wynalazcy szkła ochronnego.

Na huk wystrzałów przerażenie ogarnęło świadków demonstracji, wśród których znajdowali się przedstawiciele banków i zakładów przemysłowych, z burmistrzem Cliftonu na czele. Le Harry jednak stał spokojnie za swą szybą, choć bowiem Crawbrick strzelił 25 razy ostremi ładunkami, ani jednak z kul wystrzelonych nie zdołała szkła przebić.

Uczestnicy powstania śląskiego, z Ziemi rzeszowskiej, proszeni są o podanie w jaknajkrótszym czasie swych adresów na ręce p. Wł. Wallera (Elektrownia Rzeszów) dla celów ewidencyjnych i organizacyjnych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Niewdzięczność nagrodą za wzniosłe czyny", „Mistrzowski kawał", „Wola Boża jest święta". — **Mazańcowianin:** Listu, o którym Pan wspomina, nie otrzymaliśmy, dlatego nie było żadnej odpowiedzi. — **Jan Jordanek** w B.: Nowi prenumeratorzy będą mogli nabyć początek powieści po zniżonej cenie; ponadto w numerze noworocznym damy krótkie streszczenie początku tak, że całość dla wszystkich będzie zrozumiała. Z pewnych względów musimy tak a nie inaczej uczynić. — **Wojciech Pierzchała** w R.: Nie podał Pan przy zmianie adresu dawnego, więc szły dwa egzemplarze; obecnie poprawiliśmy. Przyrządy pszczelarskie można nabyć w pracowni blacharskiej: Michał Popow, Kraków, ul. św. Tomasza 2. Firma wysyła cenniki. Było ogłoszenie w „Roli" z 28 czerwca b. r. Nr 26. — **Józef Sikora** w P.: Odpowiedź w Nrze 47 „Roli" przeczytał Pan niedokładnie, stąd nieporozumienie. — **Hr. Abe-kow:** Opowiadanie miłe, chociaż temat zaczerpnięty ze znanych zdarzeń. Zachowamy, i o ile miejsce pozwoli, zamieścimy. — **Laur:** Wierszyk „Żniwo" dość dobry, ale w zimie trudno go drukować, natomiast „Zwiastuny zimy" bardzo blady. — **Władysław Furmanek** w R.: Nowela „Promienie" napisana z wielkim polotem, treść zajmująca, ale nie wygładzona należycie. Po uskutecznieniu jednak pewnych poprawek może być w „Roli" drukowana. Ze względu atoli na jej dość duże rozmiary trudno nam powiedzieć, kiedy to nastąpi, bo niewiadomo, kiedy się znajdzie na nią odpowiednie miejsce. Wiersz „Rozgoryczenie" zbyt osobisty, więc do „Roli" się nie nadaje. — **W. N.** w Z.: Z nadesłanych wierszyków pierwszy p. t. „Zima", wydrukujemy, gdyż jest on bez zarzutu. W innych są zwrotki dobre, ale są i bardzo słabe. Co znaczy np. takie wyrażenie: „Daj im nadziei życia kaganiec", nie rozumiemy. Nie pisze się też: „Rzegnajcie mażenia", ale „Żegnajcie marzenia", ale to nic, gdyż są to tylko usterki ortograficzne, które łatwo poprawić. Z całości możemy ocenić, że talent Pan posiada, a pracując dalej, może pisać Pan wcale dobre rzeczy. — **Marja Waller** w Rz.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Bardzo na czasie i piękne jest opowiadanie p. t.: „W grudniową noc"; zamieścimy je prawdopodobnie w numerze świątecznym. Ogłoszenie, według życzenia, zamieszczamy w dzisiejszym numerze. — **Jan Sraga** w K.: Numera „Roli" z bieżącego roku posiadamy w zapasie, więc je na życzenie możemy przesłać. Słusznie Pan twierdzi, że na podwyżce opłat listowych poczta nietylko nic nie zarabia, ale jeszcze traci. Dawniej otrzymywaliśmy po 50 listów dziennie, na czem poczta zarabiała około 12 złotych, obecnie dostajemy ich najwyżej 10 na dzień, z czego poczta ma zaledwie 3 zł. 50 gr. dochodu. Naszem zdaniem im opłata pocztową byłaby niższa, tem poczta miałaby więcej dochodów. Ale tego panowie w Warszawie nie mogą zrozumieć. — **Karolina Kowalska** w R.: Nie każdy ten jest święty, kto świętym się być wydaje, bo niejeden modli się pod figurą, a djabła ma za skórą. Dlatego też dobrze zastanowić się trzeba, którego z tych dwóch wybrać należy. — **Kazimiera Bulandówna** w H.: Obecnie zaczęta powieść, jak również powieść, którą zaczniemy drukować z Nowym Rokiem, przewyższą wszystkie dotychczas drukowane powieści w „Roli". Czeki dołączymy do „Roli" w połowie grudnia, ale prenumeratę ma Pani do końca roku zapłaconą. Za pochwały dla „Roli" serdecznie dziękujemy i pozdraw. Panią, **Rządca M.** z B. D.: Wyśle Panu Księgarnia Krzyżanowskiego, Kraków, Rynek, załączyć do listu znaczków za 1.35.

Zagadki do nagrody.

1. Uzupełnianka.

(Ułożył L. Wołek z Rz.).

a					a
	a			a	
		m	a		
		o	m		
	a			a	
a					a

1. Rząd od góry; Sprzęt wojenny. 2. Przeniesienie motoru na tylnie koła. — 3. Sprzęt domowy. 4. Kawałek chleba. — 5. Nazwisko męża stanu. — 6. Prowincja grecka.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Pierwsze drugie przy bzie grają,
Lecz je na wsi mało znają,
Pierwsza trzecia metal biały,
Co na nity się używa:
Całość owoc średnio mały,
Pokrajany w „czaju" pływa.

II.

(Eugenjusz St. Sekuła z G.).

Pierwsze i trzecie na mapie znajdziecie,
Gdyż są to góry jak się dowiecie.
Drugie i trzecie piękne u dziewczyny,
A jeśli blade to nie z mojej winy.
Całość to miasto z czasu wojny znane,
Punktem przerwania frontu oznaczane.

III.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R).

Pierwszem odzywa się człowiek o sobie,
Drugie trzecie okres świąt w zimowej dobie,
Drugi pół pierwszego małoznaczy w świecie
Bo to uniżony sługa pana przecie
Całość to owoce smaczne, chociał małe,
Warto iść je zrywać, kiedy są dojrzałe.

3. Łamigłówka.

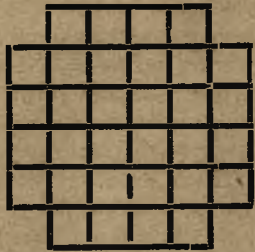
(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).

Bronisław Dreń dal mi sak stary na ryby karpie.

Wyjąć po jednej literze i złożyć tak, aby dały imię i nazwisko poety polskiego.

4. Krzyż magiczny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).



Wyrazy czytane poziomo i pionowo są jednakowe.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 11 b. m.

Znaczenie zagadek z nru 47 „Roli": 1. Logogryf: Marja Konopnicka. 2. Zagadka: Polikarp. 3. Szarady: I. Salceson. II. Kiełbasy. III. Linoskoczek. 4. Krzyż magiczny: Damazy-Kalina-Amicis-Janina.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Karolina Jasińska z W., Marek Ochwalski z M., Jan Dylski z P., Karol Skwirut z Ł., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Ks. Karol Kubik z T., Seweryn Nikiel z O. Piotr Nowak z Ż., Kazimierz Stypuła z U., Michał Kalinowski z O., Jadwiga Ogonkówna z B., Jan Kozbiał z L.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimierz Stypuła z U. i Karolina Jasińska z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Geografja.

Jest lekcja geografji. Na wieszaku wisi mapa Ameryki. Mały Franek przez dłuższy czas wpatruje się w nią i podnosi rękę.

— Czego sobie życzysz? — pyta nauczyciel.

— Po Górach Skalistych chodzi pluskwa, proszę pana.



Zawsze kupiec.

Sędzia: Zostałeś pan skazany na miesiąc aresztu i daję panu ośm dni czasu do zgłoszenia się do kary.

Szwindelstajn: A jak sobi zaraz do kary zgłoszę, to ile mi pan sędzía da rabatu?

Dotrzymał przyrzeczenia.

— Przyrzekliście mi, że podczas roboty nie będziecie palić fajki?

— Pamiętam też o tem, gdyż ile razy zapalę sobie fajkę, zaraz przestaję pracować.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 1 grudnia b. r.

Pszenica	27·00—27·50	Słoma długa	8·00—8·50
Żyto .	27·00—27·25	Ziemniaki stoł.	5·00—5·50
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	22·00—23·00		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	44·00—44·50
Groch zwyk.	28·00—30·00	Mąka pszen.	47·50—48·50
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	16·00—16·50
Łubin żółty	21·00—22·00	Otręby żytnie	16·50—17·00
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 1 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·70 do 0·85 zł.	Jałownik	od 0·70 do 0·74 zł.
Woły . .	od 0·70 do 0·78 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·54 do 0·58 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·20 do 1·32 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·50 do 1·60









Drzewka owocowe

silne, zdrowe, po cenach znacznie zniżonych

poleca

Emil Freege, Kraków

Lubicz 36/38 — Sukiennice 15/16
Cenniki i oferty na żądanie.

Adwokat Dr. D. Bulwa

Kraków, Grodzka 49 II. piętro
powrócił i urzęduje jak dawniej.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120.
Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł

Ciekawe książki

w ozdobnych oprawach z kolorowemi obrazkami, nadające się na podarunki dla dzieci:

SEN WOJTUSIA LOTNIKA	Zł. 2.40
BAJKI CZARODZIEJSKIE	Zł. 2.40
ZBIÓR BAJEK I BAŚNI	Zł. 2.40
BAJKI I POWIASTKI	Zł. 2.40

Za nadesłaniem Zł. 2.40 wysyła 1 książkę pocztą opłatnie
ADMINISTRACJA „ROLI“, Kraków, św. Tomasza 32.
Powyższe 4 książki razem za nadesłaniem Zł. 8.50.



SKRZYPCE

skorygowane do użytku szkolnego i koncertowe

Struny z najlepszych fabryk
Wszelkie naprawy uskutecznia po cenach konkurencyjnych.
Praca bardzo staranna.

Instrumenty dęte z fabryki:

BOCHLAND & FUCHS

na składzie w wielkim wyborze poleca:

Pracownia Instrumentów Muzycznych

JÓZEFA ZAJĄCA

Kraków, ul. Florjańska 21 I. piętro.

Rocznik „Roli“ z roku 1927

zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend, humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor.

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Do nabycia w Administracji „Roli“.

Najlepsze szwedzkie

Wirówki, masielnice, parniki i maszyny do szycia „Diabolo“

Światowej sławy — **Do nabycia** — **Światowej sławy**

u zastępców w każdej większej miejscowości. — Nader dogodne warunki spłaty.